



N^o 389.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 9 marca 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Pożegnanie z koniem (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Józef Żardecki (dokończenie). — Kościół o. o. bernardynów we Lwowie (z drzeworytem). — Cztery żywioły (cztery drzeworyty). — Pierwsza kasa zaliczkowa dla rzemieślników w Warszawie. — Wrażenia z podróży. — H. Litolf (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Posąg (poetya). — Drożyzna mieszkań. — Przegląd piśmiennicy.

Pożegnanie z koniem,
obraz olejny Wojciecha Gersona.

Większa część czytelników naszych pamięta do-
brze te czasy, niezbyt zresztą odległe, kiedy nie
było jeszcze w Warszawie ani Towarzystwa zachęty

ścinności udzielała. Nie wystarczało to jednak ogól-
nej i osobistej potrzebie. Konieczność zbywania
wykończonych obrazów, a bardziej jeszcze chęć nie-
przeparta częstszego przemawiania do ogółu języ-
kiem barw i postaci, stała się powodem, że od roku
1855 p. Henryk Hirszel, właściciel składu materya-
łów piśmiennych i przyborów malarskich na Kra-

główe sprawozdania, lubując się jego zaletami,
lub rzadko i nader oględnie wytykając usterki.
W istocie, popęd artystyczny owę chwilę musiał
być silny, gdy mimo niesprzyjających okoliczno-
ści, tak żywo nazwę się objawiał. Toż dzi-
siaj, przy nierównie pomyślniejszych warunkach,
Wystawa krajowa, zgromadzająca tyle nieraz dzieł



Pożegnanie z koniem, obraz olejny W. Gersona, będący obecnie własnością pr. K. Jurkiewicza w Warszawie

sztuk pięknych, ani nieustającej Wystawy krajowej.
Szcuple grono pracowników poświęconych sztuce,
nie miało wtedy innego pola występowania przed
liczniejszą publicznością, jak doroczną wystawę
Szkoły sztuk pięknych, która i pracom dawniej-
szych swoich uczniów chętnie na czas pewien go-

kowskim przedmieściu, począł dawać przytułek
płodowi sztuki krajowej, wystawiając je w swoim
sklepie na widok publiczny.

A ile to zapału, ile ruchu budziła ta szcuple
w zakresie i środkach wystawka! O każdym nowo-
przybyłym obrazie gazety ówczesne dawały szcze-

znakomitych w swoich salach, nierównie mniej sto-
sunkowo obudza zajęcia. Gazety i inne pisma pe-
ryodyczne rzadko się o niej odzywają, a ogół pu-
bliczności, nie kierowany w swych sądach umiejęt-
nemi wskazówkami, niewiele też więcej, oprócz zaspo-
kolenia chwilowej ciekawości, odnosi z niej korzyści.

Tygodnik nasz, od samego istnienia swego, dawac zaczął kopie drzeworytnicze celniejszych obrazów znajdujących się na Wystawie i krytyczne o niej sprawozdania; a jeśli okoliczności niezawsze pozwoliły nam zdążyć za wszystkimi objawami ruchu artystycznego, to postaramy się na przyszłość brak ten, według sił i możliwości, zapełnić.

Obrazek Gersona, którego reprodukcją przedstawiamy dziś czytelnikom, należy właśnie do owiej epoki skromnej wystawy w zakładzie p. Hirszla. W czerwcu r. 1856, podczas odbywających się wyścigów, w małym kółku wszczęła się rozmowa o celu i pożytku tej rozrywki. Pewien miłośnik angielskiego sportu, dowodząc użyteczności tej instytucji, wyprowadził jej źródło z upodobania klas ukształconych w najszlachetniejszym towarzyszczu człowieka, za jakiego uważał konia, a opierając swoje wywody na podwójnej zasadzie użyteczności zwierzęcia i upodobania w nim jego pana, zakonkludował że ta doroczna zabawa nie może być udziałem włościan, którzy niezdolni są przywiązywać się do konia. Tak stanowcze twierdzenie, odsadzające włościanina od przywiązania do towarzysza jego prac codziennych i długoletnich, uderzyło umysł obecnego tam artysty, a to tém bardziej, że wyszło z ust zwolennika sportu, w którego szranki występuje nieraz sprowadzone z zagranicy zwierzę, niezłączone z właścicielem swoim żadnym dłuższym i szlachetniejszym uczuciem. Jako odpowiedź więc na zbyt śmiałą konkluzję ową, w kilka tygodni po wyścigowej rozmowie, w sklepie p. Hirszla zjawił się skopiowany tu obraz, z kąd przeszedł później w ręce jednego z miejscowych miłośników sztuki.

Wieśniak wyprowadził zbiędnego, blizkiego już śmierci konia, na tak zwane *mogilki*, a zdjąwszy zeń uzdę, zęgnął wiernego towarzysza do i niedoli wzrokiem pełnym rozrzewnienia; zwierzę zaś, jakby rozumiejąc smutne swe opuszczenie, wymownym ruchem głowy raz jeszcze zwraca się ku swojemu panu. Dokoła rozrzucone na polu kości, świadczą o ponawianiu się w tém miejscu dramatów podobnych, a krążące w powietrzu ptactwo drapieżne, zdaje się już czyhać na swą ofiarę.

Takim jest obrazek Gersona, skromny i nie goniący za jaskrawym efektem, ale prostotą swą i rzewnością silnie do uczucia przemawiający.

L. J.

Kronika tygodniowa.

Nie można powiedzieć ażeby po karnawale ubiegłym w tym tygodniu nie pozostało się ani dymu, ani popiołu. Popiołu mieliśmy podostatkiem w dzień ku temu przeznaczony, chociaż szczerze przyznając, corocznie mniejsza okazuje się go potrzeba. Widać albo grzechy nasze mniejsze, albo pokora nietylko już co dawniej znajduje przystępu do serca. Co się zaś dymu tyczy, to tak nim zaszły niektóre głowy, że nieprędko on się rozproszy....

I nawet z tej poniekaąd przyczyny wnioskuje za wprowadzeniem nowego wyrażenia do naszej mowy: *głowy zadymione*. Wszakże to dość malownicze wyrażenie, a mamy takich głów podostatkiem. Boć nietylko wino upaja człowieka, nietylko opium pogrąża w stan bezwładności, nietylko haszysz powoduje rojenia bez podstawy żadnej, blaski bez światła, wonie bez kwiatów, uśmiechy bez piękności, szczęście bez zasługi. Są ludzie, co bez wina i narkotyku potrafią znaleźć sobie drogę do siódmego nieba mahometan i zamieszkać tam w szczęśliwości osobistej, dopóki ich nie zbudzi pierwszy lepszy zaprotostowany weksel, co chociaż na wątlm spisany papierze, ściąga ich nagle na ziemię, grożąc nakazami sądowymi, które żadnej z siódmym niebem styczności nie mają.

Ale nim termin wekslu nadejdzie, nim rozpoczną się kroki subhastacyjne, nim zajrzy w oczy komornik, grożąc obrzydłą swoją prozaiczną twarzą, — dlaczego nie korzystać z życia? Wszakże ono tak piękne, wszak ma przynęty tyle? Darzy ono nas w zimie owocami i kwieciami, sprowadza nam z Chin przysmaki, z Japonii naczynia, a suknie i koronki z Paryża. Wprawdzie droga daleka i kosztowna, ale pieniądze wszystko ułatwiają. Szczęśliwemu i w zimie poziomki rodzą, a choć olbrzymi szparag, co go widzimy za przemarzłą szybą, smakuje jak

woda i żadnej z niego pociechy dla podniebienia, a tém mniej pożytku dla żołądka, zawsze on pożądany, bo drogo kosztuje. Wierzajcie mi, stary gastronom rzymski, gdyby cudem zbudził się dziś żywo i zdrowo z jakiego pompejańskiego lub herkułańskiego wykopaliska, z podziwieniemby patrzył na nasz dowcip i postęp w sztuce zbytkowania i powiedziałby szczerze, że musi u nas chyba chodzić do szkoły.

Wszakże pamiętamy jeszcze te czasy, choć to dość dawno już temu, kiedy lubownik jakiś piękności i sztuki, wszedłszy w zimie do oranżeryi samej tylko kameliami zapełnionej, rozkazał kosą ściąć wszystkie te przepyszne i kosztowne krzewy, niosąc w ofierze plon kwiecisty bóstwom serca swojego. Dzisiaj nie starczą nam już oranżerye miejscowe, chociaż niemniej zasobne od dawniejszych; ale zagranicą ogrodnicy tak są usłużni i podróż kolejną tak szybko się odbywa, że doprawdy niema i troszczyć się o co. Byleby się pieniądze znalazły, w tém głównie rzecz.

Bo czas i cywilizacja postępują, a my z niemi idziemy na równi.

* * *

Weźmy naprzykład kąpiel Rzymianki, o której bliższe szczegóły znajdujemy we współczesnych autorach.

Wanny bywały srebrne (*solia argentea*), z kruczkami do wypuszczania wody z tegoż samego kruszcu, a musiały być dość obszerne, żeby wszelkie ćwiczenia pływackie można było w nich odbywać. Sufit w izbie łazienkowej pokryty był piękną mozaiką malowanie naśladowującą, a ściany wyłożone rzeźbionym marmurem. Do wody kąpielowej domieszowano najrzadszych woni; kobiety mniej zamężne używały olejku jasmínowego, albo mączki ze strączyściego słonecznika.

Ale zato bogate Rzymianki posiadały różne przepisy ziół i pachnidła, odmładzających skórę i zaciągających na niej ślady czasu. Wodę zastępowano często mlékami. Sławna Poppaea, żona dwóch cesarzy, Otona i Nerona, brała kąpiele z osłego mléka i umyślnie na ten użytek utrzymywano na dworze pięćset oslic, karmionych ziołami aromatycznymi, które nawet podczas podróży wszędzie prowadzono za cesarżową.

Podobno ten przykład naśladowany był w nowszych czasach przez panią Tallien, żonę jednego z członków dyrektoryatu rzeczypospolitej francuskiej; złe języki nawet mówiły, że mléko używane przez nią do kąpeli, sprzedawane było potem przez mlęczarkę, znaną pod nazwą *mlęczarki dyrektorskiej*.

Wszystko to jednak gaśnie przy tegoczesnych wymysłach. Mówiono nam o kąpeli w szampańskim winie, do której miano użyć osiemdziesięciu butelek tego *drogocennego* trunku. Wprawdzie szampańskie wino nie daje się tak jak mléko nalać napowróć w butelki i zakorkować; nieznanie nam są również własności kąpielowo-hygieniczne tej musującej cieczy. W każdym jednak razie kosztowna to kąpiel, a o to głównie chodzi. Przyczynie więc że starożytni byli prawdziwymi Pygmejczykami przy nas. Bo wypić wino, to mała rzecz, ale wykapać się w niem... o témby nawet sama pani Cluquot, właścicielka słynnej winnicy w Szampanii, nie pomyślała, chociażby jej to łatwiej i z mniejszym kosztem przyszło. Tym sposobem zastosowane zostało w praktyce przysłowie: *in vino veritas*, prawda w winie leży. Ale jeżeli wino sfałszowane, czy i prawda takż? Rozstrzygnięcie tej tak ważnej kwestyi pozostawiamy przyszłym myślicielom.

* * *

Towarzystwo dobroczynności nie ustaje w usiłowaniu swoich przysporzenia wsparcia ciągle mnożącemu się ubóstwu, do czego nadeszła obecnie postna pora bardzo jest stosowną. Na jutro mamy zapowiedziany koncert na Przytulisko, z bogatym programem, a urządzeniem tego koncertu zajmował się głównie pan Gabryel Roźniecki, którego kilka kompozycji, wykonanych w zeszłą środę przez uczniów Instytutu muzycznego, zyskało przyklask znawców.

Termina pierwszych przedstawień teatralnych, mających się urządzić w Towarzystwie dobroczynności, oznaczone zostały na dzień 20 i 21 bieżącego miesiąca, a przedstawienia te składać się będą ze sztuk po większej części nieznanych jeszcze na sce-

nie tutejszej, pomiędzy którymi wymieniano nam wesołą i dowcipną komedyjkę Fredry syna p. t. Przed śniadaniem, która w Krakowie i Lwowie zyskała już niemałe powodzenie. Oprócz tego zapowiadają nam zupełną nowość, t. j. deklamacją z obrazami uplastyczniającymi myśli wyrażone przez deklamującego, albo raczej deklamującą. Wyborny to pomysł, mogący być zastosowanym do wielu znanych u nas lub nowo utworzonych poematów, które tym sposobem zyskałyby żywą ilustracją. Muzyka weźmie również niemały udział w tych przedstawieniach, o których powodzeniu nie wątpimy, tak ze względu na cel, jak i na urozmaicenie umiejętnie obmyślane.

Już to komitetowi zabaw przy Towarzystwie dobroczynności przyznać należy niezwykłą czynność, umiejacą pod wszelkimi pozorami wyzyskać wsparcie dla ubóstwa. A obmyślanie różnorodnych i przynęcających widowisk nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się zdawało. Niemało trudu, niemało wysilenia na to potrzeba, zwłaszcza zanim się znajdzie dostateczna liczba chętnych amatorów, mających brać udział w widowisku. Bo tu nastęrczają się różne szkopyły, które zręcznie trzeba omijać, nieraz po kilka razy ponawiając zaproszenie, tak iż członkowie komitetu, zanim wybór sztuk uczynią, role rozłożą i uproszą do odegrania ich osoby czas swój i pracę dla biednych poświęcając, dobrze nieraz głowy nałamać muszą. Wszystko to, wydrukowane potem czerwonymi literami na afiszu, wydaje się rzeczą łatwą, zwłaszcza jeżeli rezultat jest zadowalający. Lecz ileż to na ten pomysłny skutek mozolów złożyć się musiało!

Tu także stosowne będzie miejsce wspomnieć o zabawach scenicznych, urządzanych dla dzieci w ochronie pod imieniem księdza Baudouina przy ulicy Długiej. Odgrywane tam bywają krótkie obrazki sceniczne, pomieszczane od pewnego czasu w piśmie peryodycznym ludowym *Zorza*, pod redakcją pana Grajnera wychodzącym. Obrazki te, wybornie zastosowane do pojęcia dzieci, osnute są głównie na tle historii świętej, niby misterya dziecinne, przedstawiane z całą naiwną prostotą przez młode pokolenie. Obecni takim przedstawieniom amatorowie, wynagradzają pracę małoletnich artystów przez słodycze, książeczki, obrazki i podarki różnego rodzaju; słowem nowość ta wybornie się u nas przyjęła i korzystnie wpłynąć może na usposobienie moralne dzieci w ochronkach, oraz na rozwój ich umysłowości. Tego rodzaju zabawy najlepszą są nagrodą za posłuszeństwo, pilność i przykładanie się do nauki, a dzieci taką nagrodę najłatwiej rozumieją i oceniają. Byłoby do życzenia, ażeby i w innych ochronkach zastosowano tak przyjemną a użyteczną zarazem zabawę.

* * *

W tych dniach wyszło z druku, w osobnej odbitce, dziełko wielkiej wartości, które gorąco polecamy lubownikom ojczyściego piśmiennictwa. Mowa tu o studyach nad Trenami Jana Kochanowskiego przez Felicjana, pomieszczanych częściowo w Bibliotece Warszawskiej, a obecnie uzupełnionych i wydanych osobno w drukarni Gazety Polskiej. Praca to sumienna, bo dla autora studia nad Kochanowskim stanowiły jedno z głównych zadań życia; lata on całe strawił nad tém zadaniem, starając się zbadać nietylko życie i utwory wielkiego naszego poety, ale epokę w której żył, ludzi którzy go otaczali, okoliczności pośród których pisał. Piśmiennictwo nasze niewiele dotychczas posiada studyów tego rodzaju; tém większa przeto zasługa dla człowieka talentu, który się poświęcił na tak niewdzięczną materyalną pracę.

Bo niestety! wyznajmy tutaj że w piśmiennictwie naszym istnieją niezapełnione braki, a głównie z tego powodu, że ludzie którzyby mogli i chcieli nawet zająć się ściślejszymi badaniami, studyami większych rozmiarów, zmuszeni są wprost dla chleba powszedniego imać się robót więcej popłatnych i pożądanych przez wydawców, chociaż ani im samym zasługi, ani ogółowi korzyści nie przynoszących. A i ten chleb nawet jaki starają się sobie zapewnić, zbaczając od zajęć które im wskazują zdolności i upodobanie, ten chleb nawet jest gorzki i nie wystarczający. Rzadkie książki dobre i prawdziwie pożyteczne pojawiające się u nas w handlu księgarskim, winne są swe istnienie oso-

bistym wysileniom, nie napotykając ani korzyści materialnej, ani najczęściej uznania nawet należnego. Wydawcom ani mówić o dziełach poważniejszej treści; lękają się ich jak ognia, widząc tylko pewną stratę po za niemi. Wprawdzie wyszło w tych czasach ważne bardzo dzieło i znajduje nawet chętnych nabywców, chcemy tu mówić o Poradniku bezyka, który w licznych egzemplarzach rozszedł się pomiędzy tutejszą publicznością; ale cóż chcecie, wyznaję iż tak jestem niedorzecznym, że wołałbym widzieć jakąbądź epokę literatury naszej sumiennie obrobioną w poważnym dziele, aniżeli zasady gry bezyka najdokładniej nawet skręślone. Bo jakkolwiek gra ta ma wiele bardzo *dobrego*, to nawet mniej dokładna jej umiejętność nie jest jeszcze grzechem. Sądzimy nawet że przez wyjście Poradnika bezyka, współzawodnik jego preferans niesłusznie skrzywdzonym został, ma bowiem i on swoje *zasługi*, a dotychczas nie doczekał się osobnej monografii.

* * *

W pewnym miejscu rozprawiano o warszawskich fotografach.

Chwalono szczególnie portrety przez jednego z nich wykonywane, z powodu dokładności ich odrobienia i dobrego układu.

— Czy pani nigdy się nie fotografowała w tym zakładzie? zapytała młoda paniątka pewną damę, uparcie od dziesięciu lat przywiązaną do kończącej się trzydziestki.

— Nie, nigdy.

— To mnie dziwi, bo wszyscy chwalą portrety z tamąd wychodzące.

— Tak, ale ja ich nie lubię.

— Dlaczego?

— Bo są zanadto..... podobne.

Przegląd polityki zagranicznej.

8 marca.

Coraz groźniejsze chmury zbierają się nad głowami strupieszalego państwa tureckiego, a dzienniki zagraniczne na wyciągi zapowiadają mu ostateczną w Europie zagładę. Niedołężne rządy sułtańskie przygotowały ten upadek, okazuje się bowiem iż nietylko że chrześcijanie oddani byli na pastwę baszów, ale nawet własnemu plemieniu Porta nie umiała zgotować dobrego bytu. Według dzisiejszych wiadomości pierwszy podobno cios zadany zostanie Turcji przez Serbię. Jak wiadomo, Serbia zażądała od Porty ewakuacji twierdz swoich; dzienniki zawiadomiły, że sułtan zgodził się na to i zaprosił księcia serbskiego do Konstantynopola na naradę. Tymczasem ostatnie depeze donoszą, że zaraz po otrzymaniu odpowiedzi tureckiej, rada ministerialna, z księciem na czele, odrzuciła żądania Porty i uchwaliła nową notę, domagającą się bezwarunkowego opuszczenia fortec. Jeżeli więc rząd sułtański odrzuci powtórne żądanie Serbów, wojna będzie naturalnym następstwem tej odmowy. Utrzymują że Serbia związała się przymierzem z Czarnogórą i Rumunią i że stanowczo dąży do odzyskania zupełnej niepodległości. I z drugiej strony, to jest od Grecji, grozi Turkom niemałe niebezpieczeństwo. Dyplomacya doradza ustąpić Grekom wyspę Kandyę, lecz Porta nie chce się zgodzić na to, a wreszcie i to ustępstwo nie załatwiłoby trudności, pozostaje bowiem wrzący Epir, Tesalia i Macedonia.

Wewnętrzne stosunki monarchii austriackiej nie mogą dotąd wrócić do normalnego stanu. Zaledwie spór Węgier z koroną załatwionym został, już w innym punkcie państwa nowe wzrosły kłopoty. Sejm czeski postanowił ogromną większością głosów nie wysłać posłów do rady wiedeńskiej i uchwalił w tym duchu adres do cesarza. Odpowiedzią na to było rozwiązanie sejmu, rozpisanie nowych wyborów i zdaje się także zmiana namiestnika hr. Rothkirch, zbyt sprzyjającego dążeniom federacyjnym. Podobnego losu doznały sejmy kraini i morawski; wątpić wszakże należy, aby środki te wpłynąć mogły na polepszenie stosunków krajów koronnych z gabinetem, zwłaszcza gdy i centraliści zupełnie są z ustępstw dla Węgrów niezadowoleni. Jedni

tylko Węgrzy, jakby przez wdzięczność, okazują wielką dla zabiegów p. Beust powolność.

Na posiedzeniu parlamentu północno-niemieckiego w d. 4 b. m., pod przewodnictwem Simsona, hr. Bismarck przedstawił projekt konstytucji dla nowego Związku, wzywając obecnych do szybkich postanowień, mogących ułatwić stosunki z Niemcami południowymi. Obiegające od dni kilkunastu pogłoski o zajściach między rządem pruskim i holenderskim, nie sprawdziły się. Minister holenderski Van Zuylen oświadczył w izbie, że wieści o żądaniu przez Prusy rozbrojenia Maestrichtu są fałszywe i że przeciwnie Prusy żądają utrzymania fortec nad rzeką Maas położonych. W końcu minister wezwał izbę, aby była przygotowaną na wszelką ewentualność i nie szczędziła ofiar dla utrzymania niepodległości Holandii. To ostatnie oświadczenie zaniepokoiło nieco opinią publiczną, pomimo iż minister dodał, że żadne mocarstwo dotąd tej niepodległości nie groziło. Z Pragi donoszą, że namiestnikiem Czech mianowany został hr. Kellersperg.

Wspominaliśmy już o krytycznym położeniu gabinetu angielskiego, z powodu że sterujący dziś ministrowie, Derby i Disraeli, jako torysi, nie mogli i nie mogą czynić wielkich ustępstw reformistom. To ostatnie stronnictwo coraz silniejszym się staje, a tym niebezpieczniejszym dla gabinetu, że używa do agitacji środków legalnych, dozwolonych ustawą. Pod wpływem tej agitacji gabinet Derby, który z początku zamierzał pominąć reformę wyborczą, zmienił swe postanowienie i Disraeli zapowiedział izbie gmin, że rząd przedstawi wkrótce nowy bil reformy. Z Meksyku odebrano wiadomość, że cesarz Maksymilian postanowił pozostać w kraju i przenieść swą rezydencję do stolicy. Podobno sam cesarz meksykański, na czele 6,000 ludzi, pobił republikańskiego generała Carvajal. Według ostatnich depez z Londynu, bil reformy przedstawionym być ma parlamentowi w dniu 18 b. m.

(W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)

Józef Żardecki,

wzorowy nauczyciel elementarny.

(Dokończenie)

W czasach kiedy chodziłem do jego szkoły, a było to od 1823 do 1827 r., uczył on, stosując się do planu przez władzę edukacyjną dla szkółek nakręślonego, czytania, pisania, nauki religii i moralności, historii świętej, nauki zdrowia, rachunków, to jest 4-ch działań z liczbami prostymi i wielorakimi, czytania po łacinie, ogólnych geograficznych wiadomości, a przytém krótkiej geografii, deklamacji i pokrótce ogrodnictwa, a w szczególności sadzenia, szczepienia i okulizowania drzew.

Ś. p. Żardecki, znający gruntownie ogrodnictwo, w małej odległości od szkoły, na przestrzeni kilku-morgowej roli jałowej, którą zamienił w najzysniejszą, własną pracą i staraniem założył ogród wzorowy, gdzie mieściły się warzywa, włoszczyzna, niektóre gatunki zboża wyborowego, roślin strączkowych i pastewnych, jakoteż drzewa i krzewy rozmaite i gdzie praktycznie uczył nietylko uczniów swoich, ale i starszych, ogrodnictwa.

W tym ogrodzie znajdowały się dwie szkoły: jedna drzewek przeznaczonych do obsadzania niemi dróg, a druga szczepów najwyborniejszych. Ze swoich najlepszych drzew owocowych nietylko rozdawał gałązki do szczepienia, ale sam proszącym go o to szczepił jabłonie, grusze i inne fruktowe drzewa, tak że przez przeciąg lat kilkadziesiąt jego praca, przykład, zachęta, a nawet i czynna pomoc, przyłożyły się bardzo wiele do znakomitego ulepszenia ogrodnictwa tak w mieście Tarnogrodzie, gdzie przemieszkiwał, jak w jego okolicy.

Nadto, wychodząc po za granicę planu, dla starszych, zdolniejszych i pilniejszych wykładał bez żadnego wynagrodzenia naukę o ułamkach; z łaciny: odmiany rzeczowników, przymiotników, słowa posiłkowego i słów czynnych, jakoteż tłumaczenia krótkich zdań łacińskich z Tiocinium.

Uczniowie lepsi, wychodzący z takiej szkoły elementarnej, mając dobre początki, jeżeli zapisywali się do szkół wyższych, bywali w nich bardzo

dobrymi uczniami; jeżeli zaś okoliczności nie pozwoliły im korzystać z wyższej nauki, z łatwością mogli pełnić obowiązki prywatnych oficjalistów i radzić sobie w każdym położeniu. Niejeden z czasem wyrobił się na niezłego urzędnika, niektórzy zaś, obrawszy sobie stan zakonny, w nim, przy własnej pracy, w krótkim czasie usposabiali się do słuchania nauk seminaryjnych.

Ś. p. Żardecki, pełen prawdziwej miłości, nie mógł nie być łagodnym, cierpliwym i wyrozumiałym w pełnieniu swoich obowiązków. Umiejętnie władał językiem, a sposób tłumaczenia miał tak jasny, obrazowy i powabny, że i najmniej zdolni wykład taki rozumieli i jego pięknocią pociągnięci, do samej nauki przywiązywać się mogli.

Cały jego dom był obrazem szczęścia i spokoju. Jeden dach pokrywał jego mieszkanie i szkołę; uczniowie więc z łatwością przekonywali się o prawdziwości głoszonych przez niego zasad i o możliwości ich wykonywania.

Przygotowania dzieci do spowiedzi odbywał jakby z kapłańskim namaszczeniem. Największą troskliwość okazywał w roztrząsaniu sumienia, w rozważaniu tego, co choćby cieniem było zdrożności.

Zapaliwszy w sercach młodzieży miłość Boga, tej prawdy najwyższej, bez której miłość bliźniego jest tylko kłamstwem i grubym egoizmem, był najczulszym jej ojcem, stróżem najwierniejszym i sędzią sprawiedliwym. Łagodność, cierpliwość i wyrozumiałość okazywał największą, ale na chwilę nie spuszczał z oczu powierzonych mu dzieł; znał najlepiej wszystkie ich skłonności, przymioty i przywary, odgadywał myśli i uczucia ukryte, wiele przebaczał, ale nigdy słabości nie dał panowania nad sobą.

W postępkach młodzieży i najmniejsza plama ukryć się przed jego wzrokiem nie mogła, a ponieważ małe chwasty niszczył, rzadko bardzo trafiało się, ażeby dla wyrwania zakorzeniałych, używał środków energiczniejszych. Była więc w szkole ś. p. Żardeckiego wielka karność, ale karność świadcząca o prawdziwym pojęciu stanowiska pedagogicznego i o wielkiej miłości nauczyciela dla uczniów.

Żadna praca zaszkolna, a miał jej wiele koniecznej dla utrzymania bytu swego i swój rodziny, nie odciągała go od zajęć obowiązkowych, a jeżeli choroba przypadła na niego, tylko obłożna od szkoły go odrywała. Żona jego z wielką korzyścią uczyła dziewcząt robót kobiecych, od prostego szycia do najpiękniejszych haftów, a że to była kobieta obdarzona niemałymi także zdolnościami pedagogicznymi, wielkim spokojem duszy i taktem niepospolitym, miał więc z niej na przypadek choroby wyręczenie w szkółce. W podeszłym wieku, gdy upadek sił nie pozwalał mu już regularnie zajmować się nauczaniem, wielką także dla niego pomocą była córka, która przy najpiękniejszych przymiotach duszy, tak się pod kierunkiem rodziców moralnie i umysłowo ukształciła, że znakomitą była nauczycielką dzieci.

Kilkadziesiąt lat ciągłej i mozolnej pracy, musiało zużyć tak gorliwego i sumiennego nauczyciela. Długie cierpienia fizyczne osłabiały stopniowo siły organizmu i w końcu sprowadziły zupełne ich wycieńczenie.

Opatrzony św. Sakramentami, pełen ufności w miłosierdzie Boskie, wyzionął ducha sprawiedliwego d. 8 listopada 1843 r., na rękach żony i córki, w 63 roku życia, a 44 swojego zawodu nauczycielskiego. Śmierć ś. p. Żardeckiego nie była stratą zwyczajnego człowieka, ale zagaśnięciem światła i ubytkiem ciepła dla całej okolicy.

Można bez przesady powiedzieć, że na jego pogrzeb wyległo całe miasto, bez różnicy stanów i wyznań; zjazd zaś z okolicy był tak wielki, jak gdyby to był pogrzeb możnego i zarazem dobrego pana.

W końcu nadmienić mi wypada, że z licznych u nas grona nauczycieli elementarnych, więcej podobnych wzorów dobrych pedagogów wydobyc z ukrycia i przytoczyćby można. Dałby Bóg aby wszyscy elementarni nauczyciele, świętością swojego przeznaczenia przejęci, w ich ślady wstępowali, a w niedługim czasie zebralibyśmy najlepsze z pracy tej owoce.

Leon Rzeźniowski.

Kościół o. o. bernardynów we Lwowie.

Przechodzącego od ulicy Halickiej ku przedmieściu Łyczakowskiemu placem Bernardyńskim, uderza zdaleka wspaniałą front kościoła o. o. bernardynów i przytykające doń rozległe zabudowania klasztorne, wysokim otoczone murem. Kościół o. o. bernardynów czystością i pięknnością architektury włoskiej przewyższa wszystkie inne kościoły lwowskie, oprócz archikatedralnego, odznaczającego się stylem gotyckim z wieków średnich, które, jak wiadomo, były złotym wiekiem gotycyzmu.

Zamiar wybudowania kościoła o którym mowa powziął pierwszy Jędrzej Odrowąż wojewoda podolski i starosta lwowski, dla umieszczenia przy nim dwóch zakonników obserwantów reguły św. Franciszka, którzy przybywszy w r. 1450 z Janem Kapistranem do Krakowa, a ztąd do Lwowa, na dworze pomienionego wojewody przebywali. Jakoż w spełnieniu powziętego zamiaru zbudował Odrowąż dla rzeczonych zakonników w r. 1460 kościół drewniany i takiż klasztor i tu ich osadził. Kościół i klasztor spłonęły w cztery lata później, a powtórnie w r. 1509, przy oblężeniu Lwowa przez Bohdana hospodara wołoskiego.

Odbudowaniem kościoła, ale już nie drewnianego lecz murowanego, zajął się Jerzy Mniszech i w roku 1600 dostarczył z dóbr swoich ciosu na budowę. Wzniósł się wspaniały kościół w ciągu kilku dziesiątków lat, a przyczynili się hojnemi darami do budowy jego i inni pobożni; wreszcie poświęcił go w r. 1630 Jan Próchnicki, arcybiskup lwowski. Wszelako w sto lat później, w pierwszej połowie XVIII wieku, kościół ten został odnowiony i przyozdobiony w ten sposób jak dzisiaj wygląda.

Wspaniały kościół o. o. bernardynów odznacza się, jak wspomniałem, czystością stylu włoskiego. Frontową facyatę jego zdobią posągi, przedstawiające w plastycznym uosobieniu Boga Ojca, Jezusa Chrystusa, Najświętszą Pannę, św. Pawła i Jędrzeja. Po gibelinach portalu i naokół kościoła ustawione są również liczne posągi świętych Pańskich i błogosławionych Zakonu. Ponad dach wybiega wieża z zegarem i galerią wokoło, z której piękny widok rozciąga się na miasto i okolice.

Wnętrze kościoła odpowiada jego powierzchowności. Siedemnaście ołtarzów bogato rzeźbionych przyozdabia świątynię, a gzymsy wzdłuż całego sklepienia, łuki między filarami i ołtarze przepysznie złocone, czynią szczególne wrażenie przy wejściu do kościoła, gdy się go naraz cały obejmie okiem. Złocenia te kosztowały 20,000 dukatów. Oprócz tego ozdobne płaskorzeźby i freski okrywające całe sklepienie, przyczyniają się do okazałości i piękności wnętrza kościoła.

W środku długiego prezbiterium wznosi się wielki ołtarz, złożony z szesnastu symetrycznie ustawionych kolumn, przedzielający prezbiterium na dwie równe niemal połowy. Część po za ołtarzem wielkim, zwana chórem, otoczona jest pięknie rzeźbionymi stalami, gdzie zakonnicy zwykle swe choralne śpiewy i modlitwy odprawiają. Tu w ołtarzu umieszczona jest marmurowa trumna, w której spoczywało niegdyś ciało bł. Jana z Dukli, zmarłego w klasztorze tutejszym r. 1483. Pochowano go na cmentarzu kościelnym i dopiero w trzydzieści lat później zwłoki jego przeniesiono do kościoła i w trumnie umieszczono. Na marmurowej tej trumnie wykuta jest postać leżąca, z głową opartą na dwóch księgach. Rzeźba ta ciężko zdradza dłuto. Obe-

portrety fundatorów kościoła Jędrzeja Odrowąza i Jerzego Mniszcha. Jest także kopia obrazu Rubensa, przedstawiającego ukrzyżowanie Chrystusa, przez Leksyckiego.

Jest jeszcze w chórze za wielkim ołtarzem obraz wielkiego rozmiaru, przedstawiający cuda, które się stać miały przy trumnie błogosławionego Jana z Dukli, w przeciągu czasu od r. 1485 do 1650. Pod względem artystycznym, obraz ten nie ma żadnej wartości, wszelako dla archeologa jest on ciekawym zabytkiem, przedstawia bowiem z historyczną wiernością stroje wszystkich stanów społeczeństwa rozmaitych okolic z owego czasu, a przytém umieszczone w obrazie tym liczne napisy, przechowały nazwiska wielu osób, z wymienieniem ich godności i tytułów, co starożytnikowi i badaczowi dziejów niejednej zajmującej może dostarczy wiadomości.

Nagrobków znajduje się dwa w kościele. Pierwszy na zewnętrznej ścianie po lewej stronie obok głównych drzwi wchodowych, wykowany z kamienia, wyobraża kłęczącego w zbroi rycerza, przed którym na ziemi leży buława. Jest to pomnik Stanisława na Wyżcach Wyżyckiego, zmarłego w r. 1680. Drugi nagrobek Ludwika Kalinowskiego, zmarłego w r. 1765. Jest to prosta czarna tablica marmurowa, na której umieszczony napis wierszem.

Przed kościołem wznosi się statua, przedstawiająca błog. Jana z Dukli. Jest to na kilkogrannym ozdobnym piedestale umieszczony obelisk, na którego szczycie błog. Jan z Dukli kłęczy, z rękami wzniesionymi ku niebu i z promienistą wokoło głowy aureolą.

Pamiętkę tego świętego obchodzą uroczystości zakonnicy tutejsi w dzień błog. Jana z Dukli i przez cały następny tydzień. Podczas tej uroczystości oświetlają także statwę świętego przed kościołem i studnią w podwórzu klasztorne, w miejscu gdzie był pierwotnie grób błog. Jana z Dukli. Gdy zabrano ztąd ciało, wytrysła w tém miejscu woda, której dobroczynnych skutków, jak niesie podanie, w wielu doznano chorobach, a i dzisiaj wiara ta

u ludu do źródła tego jest przywiązana. Ponad studnią cztery filary kamienne dźwigają kopułę miedzianą, na której szczycie umieszczona jest pozłocista statua błog. Duklana, w postawie kłęczącej. Wewnątrz ozdabiają kopułę freski, przedstawiające aniołów dźwigających trumnę z ciałem świętego, a bieżące dokoła napisy wierszem, opisują jego życie i cuda.

Pierwsza kasa zaliczkowa dla rzemieślników w Warszawie.

W Nr. 383 i 385 naszego pisma wydrukowaliśmy artykuł p. Makowieckiego „O bankach zaliczko-



KOŚCIÓŁ O. O. BERNARDYNÓW WE LWOWIE. (Podług nadesłanej fotografii).

nie spoczywają szczątki zwłok bł. Duklana w ołtarzu, w srebrnej trumience ze szklaną pokrywą.

Pomiędzy kolumnami wielkiego ołtarza umieszczone są posągi wielu świętych Pańskich, na szczycie wznosi się posąg św. Jana z Dukli. Sklepienie ozdobione pięknymi i dotąd w całej świeżości przechowanymi freskami. Pochodzą one z pierwszej połowy XVIII wieku, z czasów ostatnich restauracji kościoła, ukończone w r. 1740. Malowali je Lwówianie Bartnicki, Mazurkiewicz, Sroczyński, jak o tém świadczy *Słownik malarzy Rastawieckiego i Historia sztuki w dawniej Polsce* Sobieszczańskiego.

W kościele jest kilka starożytnych obrazów godnych widzenia, a mianowicie portrety królów Zygmunta III, Władysława IV, Augusta III, tudzież

CZTERY ŻYWIŁY.

Szkice H. Pillatego.

działaniu ogółu, słaba zrazu roślinka, wkrótce rozrosnąć się może w krzew rozłożysty i bujny. Pragniemy z serca, aby to nastąpiło jaknajprędzej.

Oto list wyżej wzmiankowany.

Szanowny redaktorze!

Przeczytawszy w Tygodniku Ilustrowanym artykuł „O bankach zaliczkowych dla rzemieślników,” jako sam rzemieślnik, który przechodził wszystkie koleje swego zawodu, podzielam w zupełności zdanie p. Makowieckiego.

Wprawdzie obecnie zaprowadzone są u nas instytucje mające zabezpieczać od niedoli pomiędzy innymi i los klasy rzemieślniczej, jako to: kasy oszczędności przy Dyrekcji ubezpieczeń i kasy wsparcia przy znaczniejszych fabrykach; te wszakże istotnym potrzebom rzemieślników nie zaradzają, albowiem pierwsze z nich, to jest kasy oszczędności, nie udzielają rzemieślnikom pożyczek w koniecznych potrzebach, ale zwracają tylko stowarzyszonym z małym procentem wnioski pieniężne; drugie

zaś, to jest kasy wsparcia, jakkolwiek również utworzone z wniosków stowarzyszonych rzemieślników, którzy takowe skuteczniają opłacaniem pewnego procentu od zarobku, o tyle tylko udzielają pożyczki, o ile zostaje funduszu po opędzeniu stałych właściwych tym kasom wydatków, po zapłaceniu doktora i chirurga, lekarstw, należności za kuraczą chorych w szpitalach i t. p., bez względu na tych co w domu chorowali, a tём samem pozbawieni byli możności zapracowania na utrzymanie się z liczną częstokroć rodziną i koniecznie potrzebują pomocy pożyczkowej, jakiej im brak funduszu w kasie wsparcia udzielić nie dozwala.

Te okoliczności zwróciły uwagę rzemieślników pracujących przy drodze żelaznej warszawsko-wiedeńskiej i od 1go września r. z., na zupełnie podobny sposób jak p. M.... projektuje, zaprowadzoną już została kasa pożyczkowa pomiędzy rzemieślnikami pracującymi w warsztatach téjże drogi.

Lubo kasa ta jest obecnie tak jeszcze mało znaczącą, że zaledwie zasługuje na wspomnienie, jednakże dobre chęci i wytrwałość w dalszym jej kierowaniu, mogą w przyszłości przynieść pożądany rezultat.

Obecnie bierze w nią udział kilku miejscowych rękodzielników, którzy wnosząc jakąś część swojego zarobku przy każdej czternastodniowej wypłacie, złożyli tym sposobem kapitał około 300 rs. i takowy potrzebny współtowarzyszom za małym procentem wypożyczają w kwotach rs. 15 nieprzenoszących, do zwrotu w 1ej 2ch lub 3ch ratach miesięcznych.

Głównym celem kasy jest niesienie na czasie i bez uciążliwych formalności pomocy kolegom, aby ich wydobyć z rąk spekulantów, którzy nadzwyczajnymi procentami wyzyskiwali od nich groźną ciężką pracą. Wielu bowiem niestety



Powietrze.

wych dla rzemieślników”, zaprowadzonych ostatnimi laty w Niemczech przez Schultze'go z Delitsch. Są one wzorem godnym rzeczywiście naśladowania wszędzie, gdzie klasa rzemieślników pojmować zaczyna własny swój interes i rządząc się zasadami dobrze zrozumianej oszczędności, własnym staraniem zapobiedz usiłuje klęskom, dotyczącym zbyt często niezamożnych a nieogłędnych przytём pracowników rękodzielników, fabryk i warsztatów.

Obecnie z zamieszczonego poniżej listu dowiadujemy się z przyjemnością, że dzięki inicjatywie kilku myślących rzemieślników, coś podobnego istnieje już u nas w zakładach drogi żelaznej warszawko-wiedeńskiej. Wątpliwe wprawdzie, jak dotąd, zarodek przyszłego banku; ale w sprawach tego rodzaju najtrudniej zawsze o początek. Przy dobrych chęciach, a nade wszystko przy wytrwałości i współ-



Ogień.

jest takich, którzy zmuszeni są udawać się do przepiciów po wiktuały, a usłużny zawsze spekulant, dając im na kredyt, pozbywa tym sposobem zły towar za dobre pieniądze. Jest to straszna plaga, od której bądź co bądź nieszczęśliwe te ofiary oszustwa ochraniać należy.

Kasa o której mowa, dotąd błogie przyniosła już owoce; bo istotnie potrzebny, dostawszy zaliczenie, zakupuje sobie wiktuały tam, gdzie są w lepszym gatunku i po niższych cenach, a tём samem unika skutków niesumiennéj spekulacji.

Ponieważ artykuły żywności stanowią jeden z główniejszych warunków bytu utrzymującego się z pracy rąk rzemieślnika, zamiarem przeto jest aby, skoro im do tego podaną będzie możność przez powiększenie się kapitału obrotowego, przeznaczyć część funduszu na założenie składu wiktuałów, z którego



Ziemia.



Woda.

wyłącznie tylko należący do kasy rzemieślnicy mogli się zaopatrzyć w potrzebne artykuły, nawet na kredyt, z terminem do dnia wypłaty zarobków. Zachęci to niezawodnie klasę rzemieślniczą do odkładania pewnej kwoty z zarobku na cel kasy pożyczkowej, która mu obok oznaczonego procentu, zapewni jeszcze możliwość zaopatrywania potrzeb domu w odpowiedniej dobroci i tanie wiktuały.

Nadto postanowiono, aby i ci nawet co do kasy pożyczkowej wnoszą małą tylko kwotę pieniężną, w razie potrzeby, za stosownym poręczeniem, otrzymać mogli z téjże kasy pożyczkę, płacąc procent o połowę mniejszy od tych, co do kasy nie należą, a to dlatego, ażeby ci ostatni dotykałnie przekonali się mogli, ileby zyskali na tém, gdyby chcieli coś zaoszczędzić, odmówiwszy sobie chociażby jakiej przyjemności.

To co powyżej treściwie o téj kasie powiedziałem, jest fundamentem, na którym, przy błogosławieństwie Bożem i dobrych radach ludzi kompetentnych, można dalej stawiać budynek zakreślony przez autora artykułu na początku wymienionego, a głównie oddziaływać na umoralnienie rzemieślników, którzy zostając pod przeważnym wpływem chytręj spekulacji, zapominają częstokroć o obowiązkach ojców rodziny.

Ksawery Dutkiewicz.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY,

przez

Mscisława Kamińskiego.

Dobrze to podróżować koleją żelazną, lub przynajmniej dylizansem; ale gdy przyjdzie odłożyć na bok wszelkie uprzedzenia i wsiąść do budy żydowskiej, och, jakże się wówczas zazdrości zagranicznym turystom!... A cóż dopiero gdy powiemy, że podróż ta zaprowadzi nas w kraj „senny niby ślota“, w kraj mokradli i piasków, smutnych sosen i oczekretów, węzów i wijunów — słowem do Pińszczyzny?...

Strach pomyśleć! Chęci opadają na ziemię jak ptastwo postrzelone, wola tępieje, umysł słabnie... Kilkadziesiąt mil po szkaradnej drodze i bryką żydowską, to nie żarty! Kilkadziesiąt mil takiej podróży, to dalej niż do Londynu, to tyle niemal drogi, co do Ameryki!

Jednak nie czas rozmyślać. Mekler nalega, dowodząc że już konie dawno czekają przed bramą i że zaraz pojedziemy. Jakkolwiek przywykłem niewielką wiarę przywiązywać do tego rodzaju zapewnień, nie chcąc jednak mieć sobie nic do wyrzucenia, zbieram pospiesznie swe manatki, żegnając progi domowe i tych co po za niemi pozostali i wychodzę przed bramę. Buda, zwyczajnie jak buda: odarta, najeżona słomą i sianem, niezgrabna i z powykrzywianymi bokami; ale konie zato istotnie niezłe i wcale nie zdają się zadawać kłamstwa meklerowi, który zapewniał na swoje *sumnienie*, że jak pocztą pojedę. Na kozłach siedzi rudobrody woźnica, z tęsknym jakimś wyrazem twarzy. Wyznam otwarcie, że to mnie od razu pociągnęło do niego, bo wcale nie mam sympatii do wesołych furmanów — Żydów; przekonałem się bowiem, że wesołość najczęściej w téj klasie ludzi chodzi w parze z filuteryą, a nawet z oszustwem.

Przez uliczki, ulice, po trzęskim bruku, dojeżdżamy nareszcie do Żmujdzkiej ulicy, bo zapomniałem ci powiedzieć, czytelniku, iż rzecz się dzieje w Wilnie i że właśnie z tego miasta wybieram się w podróż. Żmujdzka ulica, jak może przypominać sobie, łaskawi czytelnicy, z mojego artykułu pod napisem „*Podróż bryką żydowską*“, jest miejscem gdzie się zatrzymują wszyscy furmani — Żydzi i nieodstępni od nich meklerowie. Wjeżdżamy tedy w obszerny ale brudny i cuchnący dziedzińiec, na którym uwijają się synowie Izraela koło kilku bud, podobniuteńkich do téj jakąśmy przyjechali.

— Co to, zawołałem do furmana, odprzegasz konie?

— A tak, trzeba napić.

Wysiadam i przewidując długie godziny oczekiwania, z rezygnacją lokuję się na drwach złożonych pośrodku dziedzińca, zapalając dla zabicia nudy papierosa.

Wyobraź sobie, czytelniku, przykre położenie człowieka, który przez pięć godzin zmuszony był,

siedząc na kłodach i paląc papierosa, obserwować brudne żydowskie kury, indyki, gęsi, kaczkę i jeszcze brudniejsze ich panie. Otóż pozwól że ograniczę się na tych faktach i od razu przeniosę cię do bryki, która wreszcie namyśliła się i ruszyła na seryo w podróż.

Mijamy kolej żelazną, zazdroszcząc szczerze szczęśliwym śmiertelnikom, którzy właśnie przelecieli ponad naszymi głowami (przejeżdżaliśmy bowiem pod mostem kolei żelaznej), unosząc się na skrzydłach pary. Oto przedmieście za-Ostrobramskie. Jakże się buduje, jak stroi! Przed parą jeszcze lata stały tu po większej części nędzne drewniane domki, lub niepozorne murywane; a dziś, rzekłbyś na wścigi, właściciele tutejsi jedni przed drugimi się budują, wysadzając się na komfort i elegancją. Śmiało powiedzieć można, że za kilka lat będzie to jedna z najpiękniejszych części miasta.

Oto rogatki, a przy nich, po prawej stronie, przy ogrodzie u podnóża góry, stoi niepozorny domek. Ktoby się spodziwał, żeby o te skromne ściany odbijała się niegdyś huczna wesołość, radosne śmiechy i wiwaty? A jednak tak było istotnie. Przed laty domek ten służył pod nazwą *Wiejskiej kawy* i podczas karnawału ściągali licznych gości na tak zwane szpicbaliki, co sobotę tu dawane.

Minąwszy cmentarz prawosławny, wjeżdżamy na rozległą, piaszczystą równinę, po której wiją się dwa gościńce: lidzki i oszmiański; na zawrocie ostatniego widnieje z lewej strony niewielki kurhan, zwany Jędrzejówką. Był tu niegdyś krzyż, ale zniszczony ręką czasu, przez nikogo podniesiony nie został. Nasyt ten wykonali własnymi rękami studenci byłej wileńskiej medyczo-chirurgicznej akademii, na cześć znakomitego swego profesora Andrzeja Śniadeckiego, którego zwłoki dnia 3 maja 1837 roku sami z kościoła św. Jana aż na to miejsce na swych ramionach przeniesli, z kądku zmarłego, Bołtupia, w powiecie oszmiańskim przewiezione zostały.

Ale Jędrzejówka pozostała na oszmiańskim trakcie, my zaś ruszyliśmy lidzkim. Powietrze było chłodne, niebo zasute szarą firanką chmur, ziemia po wczorajszym deszczu wilgotna i błotnista. Okolica tęskno jakoś wyglądała, a oka rozbawić nie mogły ani jesienną barwą pokryte łąny, ani pusty gościniec, po którym kiedy niekiedy tylko przedzwięczał dzwonek pocztowy, lub przeskrypiała jednokonna kolasa wracającego z targu kmiotka. To wszystko usposabiało do marzeń, zachęcając zarazem do poznania towarzyszków podróży, jeżeli nie z rozmowy, bo do téj nie czułem ochoty, to przynajmniej z fizyognomii.

Oprócz furmana, jechało jeszcze czterech Żydów, z których jeden malec trzynasto lub czterastoletni. Może się mylę, ale mnie się zdaje, że fizygnomia synów Izraela tak jest nieczytelna, że trudno z nięj choć najmniejszy wyraz wygłoskować. Zresztą nie powinno to zadziwiać, skoro przyjmiemy za pewnik, że wychowanie, sposób życia, kultura, moralne i fizyczne stosunki wielki wpływ na człowieka wywierają. A właśnie trudno znaleźć narodu, któryby się tak jednostajnie kształcił, wychowywał, zajmował, czuł i myślał jak Żydzi. Cywilizacja ich (mówimy tu naturalnie tylko o warstwach nieoświeconych) podobna jest do zaklętego koła, z którego żadnemu z nich, pod karą powszechnęj nienawiści współbraci, ani na krok wystąpić nie wolno. Myśleć jak talmud naucza i robić jak własna korzyść każe, oto ich godło. Że znajdzie się tu niejeden wyjątek, o tém nie wątpimy i wcale nie mamy zamiaru rzucać choćby cienia pogardy na ten lud, który swoją wytrwałością i miłością braterską zdołałby okupić największe nawet wady. Chodziło nam tylko o wykazanie, że właśnie to życie jednostajne, pomimo innych zasług, odbiło się niekorzystnie w charakterze tutejszych Żydów i odosobniło ich od świata, który niedziw też że pogardą za pogardę im odpłaca.

Otóż, pomimo najusilniejszych badań, nie ciekawego nie mogłem wyczytać w fizygnomii współtowarzyszów podróży. Twarze ich wprawdzie, obok wyrazistych orientalnych rysów, miały właściwe sobie cechy; ale z wyrazu tak były do siebie podobne, jak liście jednego drzewa.

Dwaj z nich z ust prawie nie wypuszczali fajki, napełniając brykę obrzydliwą wonią prostego tytoniu, który zdołałby wszystkie myszy z domu wypędzić.

To zwróciło moją uwagę, ile że Żydzi w ogólności mało albo wcale nawet nie palą fajek. Właśnie miałem ich zapytać z kądku są, gdy jeden z nich oddał niedopaloną swą fajkę owemu malcowi którymeśmy wyżej wspomnieli. Trzeba było widzieć z jak komiczną powagą malec połykał gorzki dym i heroicznie zabierał się do wypalenia całej fajki, której rozmiary mogłyby zastraszyć najzapamiętańszego palacza.

— Niedobrze robicie, rzekłem, dając takiemu malcowi fajkę; to mu może zaszkodzić...

— Ej, gdzie tam! U nas, ot takie dzieci — tu ręką pokazał, palą jak starzy. Ja sam zacząłem palić w siódmym roku życia.

— A z kądkęście asaństwo?

— Z Pińska, odpowiedzieli Żydzi-fajczarze.

— Więc całą podróż razem będziemy odbywać? spytałem z trwogą, patrząc na fajki.

— A tak. Pan zna dobrze Pińsk?

— Cokolwiek.

— Aj, co to za miasto! To ani porównać do tego Wilna! Tam zupełnie inne ludzkie, nie takie jak w Wilnie.

I tu zaczął wyciszać wszystkie przyjemności Pińska, pomiędzy którymi na pierwszym miejscu stawił bajeczną taniotę wszystkich produktów. Zresztą wszystko co tylko należało do Pińska, zdało mu się doskonałym i niezrównanym.

Jakkolwiek ten panegiryk poczynał mię nudzić, nie mając jednak nic lepszego do roboty, musiałem go słuchać.

Trzeci Żyd był ze Słonima, a ów malec jechał z Wilna na nauki do Pińska. Tak, *na nauki!* Niejednemu to dziwną będzie się zdawało rzeczą; ale Pińsk należy do rzadkich tych miast, w których najprawdziwiejszy Izraelita czuje się zupełnie *u siebie*.

Tu Żyd może robić co mu się podoba, nie obawiając się wcale wpływu *gójów*, którzy w tém mieście, rzekłbyś, zupełnie utonęli w przeważnej ludności starozakonnej. Ztąd też gorliwi o zachowanie każdej litery zakonu Izraelici, wysyłają swą dźiatwę z dalszych nawet gubernij do Pińska, przynosząc starożywieckie chajdery, nad szkółki.

Lecz pominąwszy wszelkie błędy literalnych talmudystów, niepodobna nieskłonion czoła przed ich nieograniczoną miłością spółbraci. Ten biedny Żydek miał zaledwie kilka złotych w kieszeni, a jechał śmiało i wesoło, bo wiedział że bogatsi spółwyznawcy go nie opuszczą, bo wiedział że każdy dom spółwiercy będzie przed nim otwarty. Jakoż w czasie już podróży, w owym wielbicielu Pińska znalazł troskliwego opiekuna, który nie tylko dzielił się z nim każdym pokarmem, ale kilkanaście razy kupował mu owoce i inne łakocie. A jednak dopiero siadając do bryki po raz pierwszy go zobaczył. Wieleżbyśmy u nas znaleźli podobnych przykładów?!

Przed nami wznosiła się dość stroma i piaszczysta góra. Chcąc użyć przechadzki i ulżyć koniom, wysiadłem z bryki. Obejrzałem się poza siebie i stanąłem zachwycony. U stóp moich rozciągała się obszerna dolina, przerznięta wartkim strumieniem (Mereczanka), który omywał stopy pięknych zabudowań dworskich, umajonych wieńcem wspaniałych drzew rozmaitego gatunku. Zdała widniał poważny dach ozdobnego dworu.

— Jaka to wieś?

— To Jaszuny, odpowiedział woźnica na moje zapytanie.

Narbutt mniema, że tu w 1440 roku uknuto sprzyśiężenie na Zygmunta Kiejstutowicza; wszakże Baliński podaje ten domysł w wątpliwość. Jakkolwiek bądź, to pewna, że Jaszuny należały niegdyś do Radziwiłłów. W XVI wieku miał tu być zbór kalwiński. Następnie przeszły one na własność Balińskich, w których posiadaniu po dziś dzień znajdują. Tu Jan Śniadecki, astronom, profesor i rektor akademii wileńskiej, w pięknym pałacyku przez siebie wystawionym przepędzał ostatnie lata życia swego, przy ulubionej swéj synowicy Zofii Balińskiej i tu zgasł w 75 roku życia, pogrzebiony opodal od dworu na pagórku. Przez długi czas utrzymywano w całości pokój sypialny Jana, przerebiony następnie na kaplicę. Tu wreszcie, w sam dzień Nowego roku 1864, umarł Michał Baliński.

Późno w nocy przybyliśmy do Woronowa. Nędzne to miasteczko, które gdzieindziej zaledwieby uszło za dobrą wieś, leży od Lidy o cztery mile. Woronów zyskał sobie sławę wcale odrębnego rodzaju: oto wypiekają się tu małe obwarzanecki, rywalizujące ze smorgońskie-

Podczas obiadu dano znać prezesowi, że próba koncertu na fortepian młodziutkiego artysty Polaka, który po pierwszy raz miał debiutować w Warszawie, nie może się odbyć, ponieważ dyrektor orkiestry utrzymuje, że partycya koncertowa niepodobna jest do odczytania.

Usłyszawszy to Litolff, dla przystąpienia się młodemu towarzyszu w sztuce, podejmuje się dać sobie radę z partycją i poprowadzić orkiestrę. Prezes dyrekcyi chętnie przyjmuje tę ofiarę i koncert pod przewodnictwem Litolffa wkrótce przychodzi do skutku z wielkim powodzeniem.

Ów młody nasz współziomek, uczeń wówczas, a dziś mistrz już skończony, który Litolffowi zawdzięcza pierwsze swoje publiczne wystąpienie, to słynny fortepianista Rubinstein, obecnie dyrektor konserwatorium petersburskiego.

Wypadek ten spowodował prezesa dyrekcyi teatrów do ofiarowania Litolffowi posady dyrektora orkiestry tutejszej opery.

Przez dwa lata z górą piastował Litolff tę posadę i orkiestra tutejsza wiele mu zawdzięcza. Ożywił on zamiłowanie do muzyki w mieście naszym, organizował wielkie koncerty w salach reutowych, kilka rozgłosnej sławy kompozycyjn wyszło z pod jego pióra, a żyjący dotąd artyści, którzy się kształcili pod jego kierownictwem, przyznają mu niewyłącznie zdolność nauczycielską i organizacyjną.

Opuściwszy Warszawę w r. 1845, Litolff udał się do Berlina, gdzie w krótkim czasie wydał 14 koncertów, z bezprzykładnym przyjmowanymi był zapalem; na ostatnim szczególnie koncertem salę całą zasypano wieńcami, a artystę w tryumfie odprowadzono do domu.

Gazety przyznawały mu palmę pierwszeństwa pomiędzy fortepianistami tegoczesnymi.

Znow przez pewien czas tracimy go z oczów, aż w r. 1849 dowiadujemy się ze zdziwieniem, że objął kierownictwo domu pod firmą Majer et comp., znanego na całe Niemcy z wydawnictw muzycznych.

Przyczyną tego nagłego zwrotu w karierze słyn-

nego fortepianisty, była śmiertelna choroba którą przebył w Brunświku, a podczas której dozorowany przez wdowę Majer, ożenił się z nią przez wdzięczność i podjął się kierownictwa interesów firmy, na której czele stała ona wówczas.

Podczas tej strasznej choroby (czarna melancholia),

Przez osiem lat zawiadując interesami firmy Majer, Litolff skomponował i wystawił w Brunświku operę Narzeczona z Kynast, przyjętą z zapalem przez tamedzną publiczność. Widocznie jednak kompozytor nie podzielał pod tym względem ogólnego zdania, spalił bowiem partycją tej opery, skutkiem czego pozostała ona bez śladu.

Szybko już przebiegniemy resztę kariery muzycznej Litolffa, który obchodzi nas nie tylko jako wielki kompozytor i wykonawca, ale nadto jako artysta związany z losami muzyki naszego miasta.

Rozłączywszy się z panią Majer i odstąpiwszy jej wszelkie prawa do prowadzonej dotąd przez siebie firmy, Litolff występuje z wielkim powodzeniem w Wejmarze, wraz z Berliozem i Lisztem. Ztamtąd powraca do Paryża, gdzie silniejsze jeszcze aniżeli za pierwszym swoim pobytom budzi wrazenie. Znow dotknięty chorobą melancholii, udaje się do zamku księcia de la Rochefoucault Liancourt, i podczas kilkomiesięcznego tam pobytu tworzy operę 3 aktową Rodryg z Toledo, prowadząc przytęm dalej olbrzymią partycją do Fausta Goethego, która, jak sam twierdzi, stanowi główne zadanie jego życia. Użytkawszy rozwód z panią Majer, łączy się po trzeci raz związkiem małżeńskim z młodą wnuczką księcia de la Rochefoucault Liancourt, siostrzenicą księcia Borghese.

W roku 1864 pierwsi artyści teatru lirycznego w Paryżu przedstawiają operę Litolffa Nahel, poczem znowu go przez parę lat tracimy z oczu, chociaż dochodzi do nas rozgłos świetnych jego wystąpień na koncertach w Niemczech dawanych; aż wreszcie kilka tygodni temu dowiadujemy się z gazet, że po odbyciu podróży artystycznej po Austrii i Węgrzech, Litolff w przejeździe do Petersburga, dokąd wezwany został przez Towarzystwo filharmonijne, dla przewodniczenia olbrzymim tamedznym koncertem, zamierza wstąpić do Warszawy, gdzie go dawne powołują wspomnienia.

Szczegóły wystąpień jego w mieście naszym znane już są ze sprawozdań w tutejszych pismach peryodycznych. (Ob. dodatek).



HENRYK LITOLFF. (Podług fotografii Mieczkowskiego, rysował Tegazzo).

zagrożony śmiercią i opuszczony przez doktorów, skomponował on cztery uwertury (Robespierre, Żyrodnyści, Śpiew Gwelfów i Śpiew Belgów), które później wielkiego nabrały rozgłosu i we wszystkich znaczniejszych stolicach europejskich ze świetnym wykonaniem zostały powodzeniem.

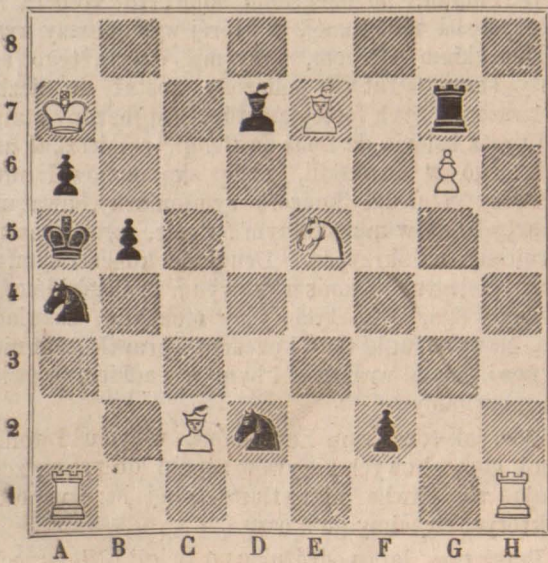
Szachy.

ZADANIE CCCXLV.

(S..... z pod Czestochowy).

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 344.

Białe. *Czarne.*

- 1) C8—C7 biorą . . . 1) D4—B5 biorą †
- 2) C7—B6 biorą . . . 2) H3—D3 biorą.
- 3) E2—G4 † . . . 3) D3—F5.
- 4) F8—E8 † i mat.

- 2) D5—D4.
- 3) D3—F4 biorą †. . . 3) E6—D7.
- 4) E2—B5 biorą † i mat.
- 2) B5—C7.
- 3) D3—C5 biorą †. . . 3) E6—E5.
- 4) B8—C7 biorą † i mat.
- 1) D4—E2 biorą.
- 2) G5—G6 2) H3—D3 biorą.
- 3) C7—D8 3) Jakkolwiek.
- 4) F8—F7 † i mat.
- 1) D4—C6.
- 2) G5—G6 2) H3—D3.
- 3) F8—D6 † 3) E6—F5.
- 4) E2—D3 biorą † i mat.
- 2) C6—D8.
- 3) F8—D8 † 3) E6—F5.
- 4) E8—E5 † i mat.
- 1) D4—F5.
- 2) F8—G8 † 2) E6—E7.
- 3) D3—E5 3) Jakkolwiek.
- 4) G8—F7 † i mat.
- 1) H3—D3 biorą.
- 2) E2—G4 † 2) E6—E5.
- 3) C7—D7 † odkryty. 3) E5—E4.
- 4) F8—F4 † i mat.
- 1) H3—F3.
- 2) C7—B6 biorą 2) F3—D3 biorą.
- 3) F2—G4 †. 3) D3—F5.
- 4) F8—E8 † i mat.

- 1) H3—H5.
- 2) C7—B6 biorą . . . 2) H5—F7.
- 3) D3—C5 biorą †. . . 3) E6—F5.
- 4) F8—F7 biorą † i mat.
- 1) Jakkolwiek inaczej.
- 2) F8—E8 †. 2) E6—F5.
- 3) E8—F7 †. 3) F5—E4.
- 4) F7—F4 † i mat.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 388.

*Furmani gdy pijani,
Ni do woza, ni do sani.*

(Dodatek).

Najznakomitsi krytycy muzyczni uważają Litolffa za dziwne zjawisko w świecie muzycznym. Sprawozdawcy niemieccy, mówiąc o jego kompozytorach, mieniają je dalszym ciągiem utworów Beethovena, inni przyrównują go do Ryszarda Wagnera. Rzeczywiście, pomimo wyjątkowych zalet gry Litolffa, talent jego kompozytorski więcej jeszcze cenić wypada, aniżeli wykonawczy. Niepowstrzymana ogniistość fantazy i dziwne, ekscentryczne nieraz porywy, przy nagromadzeniu trudności nieprzelamanych prawie, nie wykluczają w nim wielkiej poprawności stylu, którą zawdzięcza klasycznemu wykształceniu muzycznemu. Tworzy on tylko tak zwaną wielką muzykę, nie bawiąc się w blahostki zdawkowej artystycznej monety, tak rozpowszechnione przez teraźniejszych modnych kompozytorów.

Gra jego ognista, oryginalna, fantastyczna, unosi i porywa. Wielki z niego instrumencista i pod jego ręką fortepian zagłusza orkiestrę, dając zapominać o niej i pierwsze sobie zapewniając miejsce. Uniesiony zapalem, pociągnięty wrażeniem jakie czuje że budzi w słuchaczach, daje często nad sobą wodze fantazy i dlatego raz usłyszawszy Litolffa, nie można być pewnym czy utwór drugi raz przez niego odegrany, w témże samém przedstawi się światłu. Wrażenie będzie równie wielkie może, ale inne zupełnie. Zależy to wyłącznie od chwilowego usposobienia artysty, i to właśnie indywidualność jego stanowi.

Wacław Szymanowski.

POSAŁ.

(Część druga).

I.

I spadła jesień na obszary ziemi,
Jesień pogodna, posępna i blada,
W przestworzu ptaków wzbijały się stada,
Smutny jęk wiatru gonił w dal za niemi;
Liść, co o wiosnie miał się zielenią,
Dziś pod stopami uschnięty szeleści,
Bratnie jawory pocałunkiem pieści,
Nim po kurhanach burze go rozwieją.

Piosenka cicha, gdy przyroda cała
Mglistą jesieni sukienkę przywdziewa,
Gdy sterczą wkoło kościotrupy-drzewa,
Dopiero wracasz do mnie, piosenka mała.
Czemuś o wiosnie, lub pośród burz lata
Lutni twój dzwicznój nie dała mi w ręce?
Śpiewałbym miłość w miłosnej piosence,
Lecz ty pierchnęłaś, piosenka skrzydlata.
Dzisiaj tumany słońce już zaćmiły
I smutno wkoło na ziemi i niebie;
Piosenka, dzisiaj ja oddalam cię,
Czyż śpiewać można u progów mogiły?
Tyś jeszcze przy mnie? drżąca i wybladła,
Czemu tam w dali nieruchomie stoisz,
Blade usteczka do uśmiechu stroisz,
Choć srebrna łezka po twém licu spadła?
Więc zostań ze mną, trwożne, ciche dziecię,
Będziemy śpiewać nawet i w jesieni,
Choć moich uczuć grób się nie zieleni,
Chociaż bez kwiatów plecie się to życie.
Pieśni nadziei, marzeń i miłości
W tym posagowym, skamieniałym tłumie
Nikt nie wysłucha i nikt nie zrozumie,
I grom ucicha w obrębach nicości.....
Lecz snów przeszłości jesień nie rozwieje,
Więc w skrzepłych zgłiszczach młodzieńczych pa-
Znajdźmy wspomnienie, złotój nitki wątek. [miątek
Zbliży się piosenka.

II.

Przeszło to już dzieje.

Wśród świata tłumy widziałem ich dwoje:
On zaklął zale i cierpienia swoje
I myśli wrzące w ideału szaty,
A pod urokiem młodzieńczego szału
Wzniósł całą ludzkość na szczyt ideału
I tworzył nowe, idealne światy.
Cudneż to były wiosniane marzenia,

Przyszłość tak jasna, czysta i promienna,
O jakiej tylko wyobraźnia senna
Zamarzyć może w przedświacie natchnienia.
Lecz myśl naprózno po przestworzach lata,
Próżno wzrok tonie w lazurówym niebie,
Po drodze życia idąc, patrz przed siebie,
Kto synem ziemi, niech wraca do świata.
On nie znał ziemi: w tęsknych dum krainie
Pędził spokojnie dni w osamotnieniu,
Zdała od ludzi ukrył się w półcieniu,
Gościł w rusalek i sylfów dziedzinie,
Tęskne piosenki snuł z wrzącego łona,
Kochał świat cały, bo nie poznał zblizka
Tego szarego ludzkości mrowiska
I nie zateęsknił do świata.

III.

A ona....

Była kobieta! Długie, płowe splety
Przecudnie piękną okalają głowę,
Wysmukła kibić, usta koralowe,
Z wiosnianą barwą miłości, pieszczoty;
Niebieskie, łzawe i namiętne oczy,
Z jasnym połyskiem miłosnego szału;
Piers śnieżna, drżąca, wznosząc się jednoczy
Uczucie ziemskie, z pięknem ideału.
O, śliczną była! Z jej białego czoła
Uderzał odbłask, na różanej twarzy
Rumieniec z ogniem mieni się i żarzy,
Śliczna urokiem posagu-aniola.
Lecz choć jej oczy płonęły zarzewiem,
Czy w piersi czucie tłało choć w iskerce?
Czy ta kobieta w piersi miała serce?
Powiedz, piosenka, powiedz — bo ja nie wiem.

IV.

W tłumie rozpieczęłym w różnobarwne zwoje,
Gdzie rozum z sercem, gdzie duch walczy z ciałem,
Uśmiech ze łzami, śmieśczość z ideałem, [łem,
Na drodze życia zeszli się oboje.
On spojrzął, zadrzał: czarodziejka senna,
Którą wymarzył w tęsknych dum krainie,
Za którą gonił w rusalek dziedzinie,
Jaśniała przed nim żywa i promienna.
Pod ócz jej grotem twarz mu ogniem pała,
Niepewnym wzrokiem dokoła potoczył,
Stanął, jak gdyby w kręgi czarów wkroczył,
Olśniony, drżący. — Ona się rozśmiała.

V.

Stali oboje ponad rzeki brzegiem,
Co hyzo płynąc pomiędzy granity,
Srebrnej przepaski rozwijała zwity,
Ginąc w oddali nieścignionym biegiem.
Ona trzymała kwiaty w swojej dłoni,
I wiele kwiatów w ton przejrzystą wpadło,
A w zamian rzeka, czysta jak zwierciadło,
Własną jej twarzą wdzięczyła się do niej.
Słowik marzyciel, ulubieniec gaju,
Śpiewał donośny hymn matce naturze,
Łączył się w jednym harmonijnym chórze
Z szumem jaworów, ze szmerem ruczaju.
Ta wszechstworzenia pieśń wielka, wspaniała,
Znalazła oddźwięk w tęsknocie młodziana,
Zbudzona w piersi piosenka nieznana,
Zwrotka miłości w słowach się rozlała.
Łzawą źrenicą objawszy miłośnie
Postać kochanki, mówił długo, długo,
Słowa płynęły z serca jasną strugą,
Jak tylko płyną w złotój życia wiosnie.
I wysnuł z serca sennych marzeń roje,
Odślonił w piersiach uczucia tajone,
Zbolałej duszy uchylał zasłonę,
Odkrył łyzy swoje i cierpienia swoje.
Ona nad brzegiem przezroczyściej toni
Stała milcząca, cicha, lodowata,
Jak martwy posąg z kamiennego świata,
Zwiędła równiankę cisnąc w swojej dłoni.
Na drżących ustach pieśniarza biednego,
Gdy ton ostatni urywa się, kona,
Wtedy nadziemską siłą poruszona
Zadrży dziewczica i bieży do niego;
Z żywością dziecka, z urokiem aniola,
Bielutką rączką usta mu zaślania,
Drugą odgarnia kucze włosy z czoła,
Prześliczną główkę na piersi mu skłania,

Wysmukłą kibić do uścisku chyli....
I uczuł młodzian balsamiczne technienie,
Ogień na ustach, ale w téjże chwili
Zniknęła w dali jak sen, jak marzenie.

VI.

I szalał biedny. — Widma ukochane
Wnet go czarownym otoczyły kołem,
Szczęście i rozpacz miotały nim spolem,
Uczuł w swój duszy uczucia nieznane:
Słodycz na ustach, w głębi serca próżnię...
Biedny szaleńcze! zimny, obliczony
Ten uścisk przez nią z litości rzucony,
Równa się małej bogacza jałmużnie,
Co do skarby drobny szeląg ciśnie.
Próżno odkryłeś głębię twojej duszy,
Słowo miłości głazu nie poruszy;
W oczach posagu miłość nie zabłyśnie;
Głaz się nie zmieni w kochankę-aniola;
Miłość, co węzłem wplotła się w twe życie,
Iskry współczucia nie znajdzie.... w granicie.
Więc szalał biedny, i z rozpaczą woła:
„Sławy mi trzeba, potęgi, imienia,
Wielkości Danta, Petrarki, Bajrona,
Wtedy dopiero będzie moja ona!
Sława, co blaskiem wieszczów opromienia,
Poda mi złoty bardon w silne dłonie,
Pieśń moja załśni barwami motyli,
I wtedy ona dumne czoło schyli,
Gdy wieńce z lauru okolą me skronie!
Cóżem ja wyrzekł? te bezsilne ręce
Czyż utrzymają starą bardów lutnię?
Struny méj liry jęczą z cicha, smutnie,
Ledwie łyzy zdołam wypłakać w piosence.
Tor quata Tassa nie dla mnie korona,
Nie umiem nawet zakląć w pieśń proroczą
Nawału uczuć, co mi piersi tłoczą.
Przedemną w prochu ma się ugiąć ona?...
Precz z tą pokusą! piosenka nieśmiała
I żywot cichy są moim udziałem,
Z pieśnią ukłękę przed mym ideałem,
Może mnie sercem pojmie moja Biała!”

VII.

Jesień już panią w przyrody dziedzinie,
Czerwoną barwą złoci gajów drzewa,
Słowik-marzyciel piosnek już nie śpiewa,
Tylko źródło czyste po dawnemu płynie.
I po dawnemu oboje tam stali,
Ona milcząca, nieruchoma, blada,
Kłosek po kłosku z rąk jej w wodę pada,
I on milczący, wśród ponurój ciszy
O coś się wzrokiem ócz kochanki pytał,
Lecz gorzką prawdę w tych oczach wyczytał,
Smutną odpowiedź z jej ustek usłyszy:
„Miłosnej piosenki ja słów nie rozumiem,
Pytasz czy kocham? — ja kochać nie umiem!”

VIII.

Ucichnij piosenka, figlarna szczebiotko!
Rymy twe biegną nieskończoną strugą,
I tak już z sobą gwarzymy żądługo.
Żegnam cię, piosenka, tą ostatnią wrotką,
Blada, bezbarwna piosenka skrzydlata,
Szukać natchnienia w twój piersi daremnie,
Znać żeś tak długo stroniła odemnie,
Znać żeś się snuła wśród martwego świata.
W powodzi rymów dobiegłaś do mety,
Lecz myśl twa światłem natchnienia nie błyska.
Kręśląc dwa cudne przyrody zjawiska:
Urok posagu i miłość poety,
Czarów jej siłę któż opisać może?
Ten tylko pojmie wieszcząca szal uroczy,
Komu raz w życiu modre, łzawe oczy
Opromieniły cmentarne bezdroże.
Zamilknij piosenka, ciche, trwożne dziecię!...

A kto za niemi chciałby śledzić okiem,
Niechaj ich szuka po świecie szerokim;
Obcych, samotnych oboje znajdziecie.
W wirze rozpieczęłym w różnobarwne zwoje,
Gdzie rozum z sercem, gdzie duch walczy z ciałem,
Uśmiech ze łzami, śmieśczość z ideałem,
W arenie głazów... skryło się ich dwoje!

Seweryn Zaleski.

*) Zobacz Nr. 241 Tygodnika Ilustrowanego.

Drożyzna mieszkań.

Chórem podnoszą się u nas krzyki na drogocę mieszkań. Rozmaitéj formy artykuły i artykułiki, zaczawszy od skromnych kilkowiérzowych życzeń kuryerkowych, aż do tryskających sarkazmem i dobitnymi ilustracjami zdobnych wiérzsy w pismach humorystycznych — wszystko potępia tę, zdawałoby się, istną plagę egipską, jaka w postaci właścicieli domów co kwartał lub co miesiąc czyni posuchę w kieszeniach licznój rzeszy lokatorów. Niestety! wszystko napróżno. Nietylko że ceny mieszkań nie zniżają się, ale ustawicznie dążą do podwyżki. Kiedy usiłowania dziennikarstwa zdołały przecie wpłynąć, choć w części, na zmniejszenie zbyt wysokich cen niektórych przedmiotów, jak nafty, mięsa, stearyny i t. d., w téj przeciw jętrzącej kwestyi mieszkań, najwymowniejsze, najracjonalniejsze i najbardziej nawet poetyczne przemowy ludzi pióra, odbiły się, jak groch od ściany, od twarą błoną opatrzonych uszów ludzi kamienicznych, i żaden, ale to literalnie żaden z gospodarzy, nie zniżył ceny mieszkań w swéj nieruchomości.

Fakt ten najdobitniej świadczy, że cały chór wołających, jakkolwiek prawdziwie ugniatany, nie ma za sobą zasad mogących istotnie wpłynąć na zmniejszenie ceny czynszów; inaczej ogół kilkotysięczny, niezwiązany z sobą żadnymi korporacyjnymi węzły, nie mógłby się ostać w obec tłumy żądań i nacisków, jakie codziennie niemal, prywatnie lub publicznie, nań oddziaływają. Wówczas gdy niejedni z owych tysięcy właścicieli domów, jako handlujący lub rzemieślnicy, ulegając wpływowi nacisku, sprzedają lub sprzedawac zaczynają towar swych sklepów lub wyroby swego warsztatu taniej — jednocześnie ci sami ludzie, wrażliwi na zdania dotyczące się ich towaru lub wyrobu, pozostają niewzruszonymi w kwestyi mieszkań i zamiast zniżenia, podwyższają ceny lokalów.

Cóżby więc miał znaczyć ten fakt? Podług nas znaczy on: 1o że handlujący w ogóle, czy to wyrobami swego warsztatu, czy innymi przedmiotami, czy pomieszkaniem, to tyle tylko ulegają wpływowi zewnętrznego nacisku, o ile na to ich własny interes pozwala i 2o że na handlujących w ogóle, tylko siła konkurencji działać może.

Dwa te wnioski tutaj postawione, wydawać się mogą trochę dowolnymi, dlatego pozwolicie czytelnicy, że dołączymy do nich kilka słów wytłumaczenia.

Co do pierwszego. Zdaje się że każdy przyzna, iż posiadacz pieniędzy ma prawo do procentu, jeżeli swe pieniądze komukolwiek wypożycza. Stopa procentu zależy od tego, ile jest pieniędzy do wypożyczenia i jaka pewność ich odbioru. W obecnym czasie ludzie zasobni w piędz i wypożyczający takowy w Warszawie na domy, dostają procentu średnio 7 od sta.

Rozumié się że jeżeli posiadacz pieniędzy, w mieszkaniu ich wypożyczenia, kupuje lub buduje za takowe dom, ma wtedy niezaprzeczone prawo do takiegoż samego procentu. To zdaje się nie ulega sporowi.

Otóż przytoczę tu rachunek autentyczny, jakie są dochody z nieruchomości, dla przekonania czy, stosownie do włożonego w nią kapitału, daje ona procent 7%, czy też nie daje.

Nieruchomość jaką stawiam za przykład, leży w ludnej części miasta, przy ulicy zaliczonej do pierwszego rzędu. Wartość onéj, biorąc za podstawę cenę jaką zgłaszają się o kupno téjże nieruchomości dają, wynosi rs. 25,500. Dochód z niéj brutto czyni rs. 2,196, licząc w to już wartość lokalu zajmowanego przez właściciela domu. Rozchód wynosi rs. 638 k. 55, co odjąwszy od dochodu, wypadnie intraty na czysto rs. 1557 kop. 45. A że tenże sam kapitał, wypożyczony na procent po 7%, dałby dochodu rs. 1780 po strąceniu rs. 5 na podatek klasyczny, przeto właściciel domu, zato że ma dom, że się może pisać właścicielem, traci na czysto rocznie rs. 222 kop. 55.

Niejedni z czytelników nie będzie chciał uwierzyć temu wyliczeniu, tak przywykliśmy uważać dochody właścicieli domów za bajeczne. Ale że tak jest, udowodnić mogę czarno na białém, lubo nie przeczę, że jest pewna ilość domów, w pryncypalnych punktach miasta, które mogą przynosić większe odsetki, ale ogół tycholbrzymich dochodów nie ma. Na poparcie mego twierdzenia dość przywieść zna-

czną liczbę domów sprzedawanych drogą subhastacyi, a których to domów właściciele, płacąc wierzycielom hipotecznym w ogóle po 7%, a w części i po 8%, już nie mogli wyjść na swoje i uiścić się na termin.

Skoro więc za wypożyczenie pieniędzy daje się 7%, nie zatem dziwnego, że właściciele z domów swych taki sam procent mieć pragną, a nawet mieć muszą, jeśli chcą opłacać procenta od summ zapisanych na hypotekach ich nieruchomości. Właściciele, płacąc swym wierzycielom po 7%, powinni z wynajmu lokalów osiągnąć koniecznie także na czysto najmniej 7%, inaczej zbankrutują, wydając więcej aniżeli mają dochodu. Obniżając ceny mieszkań, właściciele domów gotowaliby sobie ruinę, a przyczyną liczných tegoczesnych subhastacyj, jest właśnie czas stagnacyjny, czas niepewności, czas deprecyacji, niedozwalający właścicielom domów podnieść komornego tak, aby ono procenta wierzycieli hipotecznych pokryć mogło.

Wszelkie zatem głosy sarkające na wysokość cen dzierżawnych wysłuchaniami być nie mogą, bo temu stoi na zawadzie niezlomna warownia osobistego interesu, straszna obawa zagubienia swego mienia, a częstokroć i nędzy. Właściciel domu wartującego 15,000 rsr., na którym byłoby 7,500 rsr. długu po 7% rocznie, gdyby kontentował się piątym procentem, musiałby wierzycielowi z dochodu ogólnego 750 rsr. zapłacić rubli srebr. 525 procentu, a jemu pozostałoby od 7,500 tylko procentu 225 rsr., czyli po 3 od sta; gdy tymczasem lokator-kapitalista w jego domu zamieszkały, ciągnąłby od swych pieniędzy po 7%. Gdzież więc byłaby sprawiedliwość?

Niektórzy z lokatorów, zastraszeni wysokimi cenami lokalów, uciekają się aż do rady nałożenia urzędowej taksy na najem pomieszkani. Ale pominąwszy już całą mylnosć téj rady ze stanowiska ekonomicznego, radzący nie przypuszczają zapewne, że témby właśnie sobie szkodę, a właścicielom domów prawdziwą wyświadczyli przysługę. Urzędowe bowiem taksy dochód z domów musiałby koniecznie oznaczyć najmniej po 7%, dlatego że ten procent jest dziś normą średnią, że ogromna większość domów właśnie taki procent opłaca od summ hipotecznych, pomimo tego że stopa prawna oznaczona jest tylko na 5%. Co więcej, samo zagrożenie taksą już wyrze wpływ zębny dla lokatorów, gdyż wierzyciele, przestraszeni taksą, przestraszeni interwencją rządową w sprawę czysto prywatną, przestraszeni pewnością zniżenia się ceny domów, jaka po tak nieekonomicznych środkach nastąpićby musiała, wycofaliby pospiesznie swe kapitały lokowane na hypotekach, a ogromna ilość jednoczesnych żądań zwrotu, utrudniając właścicielom możność dostania pieniędzy, tém samém podniosłaby o wiele stopę procentu, która to podwyżka ostatecznie odbiły się musiała koniecznie na cenie lokalów, czyli na lokatorach.

Środek więc tak radykalny i tak zaradczy w przekonaniu niektórych, byłby dla nich jeszcze zgubniejszym. Zostawmy go przeto w pokoju i nabądźmy tego przeświadczenia, że wszelkie sposoby zasadzające się na ograniczaniu i kępowaniu, żadną miarą błogich rezultatów nie wydadzą. Warszawa przekonała się o tém niedawno, mając u siebie taksę na mięso i chleb, która bynajmniej podnoszeniu się cen tych przedmiotów nie zapobiegła, i która nawet, będąc obowiązującą na papierze, w praktyce bardzo często moc swoją traciła.

Co do drugiego powiedzieliśmy że w ogóle zniżenie cen zależy od konkurencji. Nie łudźmy się że to usiłowania prasy peryodycznej bezpośrednio wpłynęły na obniżenie cen mięsa, naftaliny, stearyny i t. p. Tylko konkurencya między handlującymi jest regulatorem ceny. Dowód mamy w faktach. Zniesienie opłat konsumcyjnych dozwoliło mieszkańcom wsi dowozić mięso na targ, i zaraz też rzeźnicy warszawscy, choć nie o wiele, zniżyli ceny na mięso; a jeśliby jeszcze dowóz tego mięsa ze wsi dostał się w ręce jakiego porządnie uorganizowanego stowarzyszenia, z pewnością spółka handlujących byłam stepowem albo by się rozchwiała, albo przynajmniej zniewoloną została do obniżenia ceny wołów, za czém i cena mięsa spadłaby nieochybnie. Jeden handlujący naftą galicyjską, zniżywszy ceny, obniżył w ogóle ceny nawet najlepiej oczyszczonyj nafty. Dowóz świec z fabryk petersburgskich

wpłynął, na sprawiedliwsze uregulowanie ceny tego rodzaju materiałów oświetlających. Nawet wywózka nieczystości, kosztująca przed pojawieniem się aparatu Bergera po 7 złp. od beczki, dziś kosztuje już pół rubla tylko. Oto fakta dnia dzisiejszego.

To samo co się tyczy towarów, tyczy się także i ceny lokalów. Ceny te zależą od konkurencji. Im więcej lokalów jest do wynajęcia, tém bardziej i ceny ich zniżać się muszą, bo właściciele domów, lękając się aby lokale nie stały pustkami, niższością komornego ubiegać się będą o lokatorów. U nas w Warszawie niema lokalów stojących pustkami, i dlatego to niema i konkurencji. Owszem, nam ciągle brakuje mieszkań; nie mieszkamy, ale gnieździimy się. Weźmy to pod obrachunek i porównanie.

Paryż w roku 1864 liczył mieszkańców 1,700,000; mieszkań w ogóle było 629,421, a z tych 15,000 nienajętych. Przypuszczając że na każde mieszkanie wypada średnio po dwie izby, będzie izb w ogóle 1,258,842, a niewynajętych 30,000. Średnio zatem wypada na jedną izbę ludności głów 1¹/₃. W Warszawie w r. 1865 było ludności 243,512, a izb 113,916, na izbę zatem wypada głów 2¹/₃. Rozumié się że w liczbie izb, tak w Paryżu jak i w Warszawie, objęte są i sklepy.

Na pierwszy rzut oka przywiedzone cyfry dobitnie wskazują, jak mało Warszawa ma mieszkań w stosunku do Paryża. Aby ludność żyjąca obecnie w naszym mieście ulokować tak jak paryżką, potrzeba izb Warszawa miała 177,032 izb, to jest aby przybyło 63,166 izb, czyli licząc średnio na dom izb 36 (tak u nas wypada), aby przybyło jeszcze 1754 domów. Że zaś, jak o tém Przegląd tygodniowy przed rokiem wspomniał, p. Hausman, prefekt departamentu Sekwany i prezydent Paryża, dowodził, że chcąc w Paryżu zniżyć ceny lokalów przez konkurencyę, potrzeba aby przynajmniej 25000 lokalów, t. j. 50,000 izb stało pustkami, czyli aby w stosunku do ludności 1,700,000 głów, było izb do najmu 1,308,842, — przeto biorąc ten sam stosunek dla Warszawy, wypadnie że ludność 240,000 powinna mieć w ogóle domów 5117, a zatem należy aby do istniejącej dziś liczby domów przybyło 1980! Wówczas będzie izb do najęcia 184,228 i z tych pustkami stać będzie 7146, a liczba ta właśnie, według obrachowań p. Hausman, wpłynąć dopiero może na obniżenie ceny mieszkań drogą konkurencji. Jeżelibyśmy zaś przypuszczali, że stosunek 1¹/₃ głów na jedną izbę jest jak dla nas za zbyt kłowny, a tylko ograniczyli się na istniejącym u nas stosunku 2¹/₃ głów na jedną izbę, to przyjąwszy że obecna ilość mieszkań dostateczną jest tylko na pomieszczenie dzisiejszej ludności, bez żadnego lokalu próżnego, a zatem bez konkurencji, i w takim jeszcze razie, chcąc konkurencyę wywołać zniżenie ceny lokalów, potrzebaby wybudować przynajmniej 200 domów, nie licząc już ile ludność świeżo przybyła do Warszawy zajmie mieszkań. A powiększanie się ludności przez napływ z prowincyi i z zagranicy do naszego miasta stosunkowo jest ogromne, gdyż, jak statystyka przekonywa, w ciągu r. 1865 wzrosła ludność Warszawy przez przyjazd o 29,570 osób, przez urodzenie (po strąceniu umarłych) o 2792 — razem o 32,362 osób.

Po zbadaniu przeto dwóch tych okoliczności, zdaje się iż mamy prawo wyprowadzić następne wnioski:

- 1) że dochód z domów, z małemi wyjątkami, za ledwie dozwala na osiągnięcie koniecznego procentu 7% rocznie.
- 2) że liczba mieszkań, w stosunku do ludności Warszawy, jest niedostateczną, i
- 3) że w skutek téj niedostateczności, konkurencya nie może wpłynąć na obniżenie ceny najmu lokalów.

Wyprowadziwszy te wnioski, łatwo bardzo postawić warunki, któreby mogły na zmniejszenie ceny najmu mieszkań wpłynąć, a warunkami temi są:

a) Udogodnić kredyt hipoteczny przez zmniejszenie stopy procentowej od kapitałów obciążających nieruchomości, a to za pomocą jakiej instytucyi kredytowej, np. Towarzystwa kredytowego miejskiego, któreby na wzór Towarzystwa kredytowego ziemskiego, dawało pożyczki amortyzacyjne na mniejszy procent, a któreby zarazem wynaléć mogło takie środki gwarancyjne, izby listy zastawne miejskie

w kursie swym niebardzo się oddalały od *al pari*. Że ostatni ten warunek jest trudnym w obec masy listów zastawnych i likwidacyjnych, przyznajemy chętnie; lecz z drugiej strony pożyczki listami zastawnymi miejskimi, stojącymi np. po 60 za 100, nie dałyby żadnej korzyści właścicielom domów, a t^ę samą nie wpłynęłyby wcale na korzyść lokatorów.

b) Dobudować w jaknajprędszym czasie tę ilość domów, jaka jest konieczną dla wywołania obniżenia ceny dzierżawnej drogą konkurencyi. Czynność tę skutecznie można dwoma środkami 1) przez zawiązanie się instytucji kredytowej, celem udzielania pożyczek na budowę domów, z procentem niższym od obecnie pobieranego i 2) przez zawiązanie się stowarzyszenia do budowy domów.

Nie wchodzimy tu w rozbiór trudności towarzyszących podobnym stowarzyszeniom, ani w wykazanie małej gwarancyi jaką przedstawiają nieruchomości miejskie w porównaniu z nieruchomościami wiejskimi, dającymi wierzycielom znaczne przestrzenie gruntów, które w obecnym stanie stosunków ekonomicznych Europy żadną miarą nie mogą być porzuconymi i obróconymi w pustynie, wówczas gdy niewielkie kawałki gruntów miejskich pod zabudowaniami będących, małą i bardzo małą przedstawiają rękojmnię, a same budynki w jednej chwili na kupę rumowiska obróconymi być mogą. Rozbiór tych wszystkich trudności i ograniczeń zmieścić się nie może w ramy niniejszego artykułu, którego zadaniem jest tylko przedstawienie, dlaczego utrzymuje się u nas drożyzna lokalów i co mianowicie tej drożyznie tamę postawić może.

Wprawdzie przedstawienie to może wywołać nieukontentowanie ogółu lokatorów, bardzo sprawiedliwie skarżących się na drogość mieszkań; mogą powstać skargi na teoretyków, starających się formułkami naukowymi usprawiedliwić to, co jest istną plagą dla masy mieszkańców zmuszonych ograniczać swe najpotrzebniejsze wydatki, zmuszonych skąpić na stosowne wychowanie swych dzieci, słowem zniewolonych czwartą a nawet trzecią część i więcej swych dochodów przelewać do kasy właścicieli domów za komorne. Ale z drugiej strony niepodobna znowu aby właściciele domów płacili większe procenta, aniżeli sami ze swego kapitału ciągną, aby wydawali więcej niżeli zyskują, słowem aby ruinowali siebie i dzieci swoje, dla ulżenia losowi innych. Społeczeństwo nie na ofiarach stoi, ale na obowiązku.

Tłumaczenie to atoli nie usprawiedliwia wcale nielitościwych wymagań ze strony właścicieli domów, którzy korzystając z okoliczności, drażnią pokoi mogą. Ale powiadam wyraźnie, że nie usprawiedliwia tylko nielitościwych wymagań, przeciwko zaś ich chęci sprzedania swego towaru w stosunku do jego wartości, nie mogę nic nadmienić. Mieszkańcy Kalisza i innych miast, niedawno tak srogo uzalający się na wysokość komornego, bez wątplenia mają największą słusność skarżąc się na owe wysokie ceny, wyższe nawet od cen w Warszawie praktykowanych; ale powód tego podwyższenia leży nieochybnie w t^ęm, że ludność tamieczna, przy przemianie owych miast na gubernialne, odrazu znacznie się powiększyła i w skutek tego znalazło się wielu poszukujących lokalów.

Bez wątplenia jarzmo drożyzny srodze każdemu daje się we znaki, ale skargi tutaj, choćby najbardziej zólcia zaprawione, choćby najjadowitszym sarkazmem, lub najszczytniejszymi sentencyjami ksiąg świętych przystrojone, nie dadzą żadnego skutku, tak samo jak nie dały rezultatu np. skargi tegoroczne na drogość kartofli lub sadła. Tu potrzeba środków zaradczych, a właśnie wszyscy niemal skarżący się środkami takich nie podają, wyjąwszy nielogiczne rady otaksowania mieszkań. Czemu obok skarg nie bywają podawane środki mogące zle ukroić? Dlatego że środki te są bardzo ograniczone, że są bardzo trudne, jako zależące od ogólnego stanu naszych interesów ekonomiczno-społecznych, dlatego że skarżący się widzą tylko złe, a nie szukają jego przyczyn. Gdyby skarżący się poszukali tych przyczyn, koniecznie przyjszyby musieli do rezultatów do jakich myśmy przyszli i na te same zaradki środki zapewneby się zgodzili. Być może iż wówczas ogół, więcej poznajomiony z temi środkami, starałby się połączonymi siłami usunąć to złe, próbując różnych środków, pomiędzy którymi zwraca na siebie uwagę angielskie stowarzyszenie budowy do-

mów, znane pod nazwą Building societies. Stowarzyszenie to, nader praktyczne w Anglii, kto wie czyby się i u nas zaszczepić nie dało, i dlatego to o ni^ęm, w zastosowaniu do kraju naszego, pomówimy w następnym artykule.

Tutaj zaś nadmienimy jeszcze, że nie idzie nam o usprawiedliwienie właścicieli domów w t^ęm co z ich strony jest nadużyciem, ale tylko o prawdziwe, niejatrzące wyjaśnienie sprawy i podanie sposobów zdolnych złemu zaradzić. Chociażby więc gwałtowniejszego charakteru czytelnikom i żartownisiom, artykuł niniejszy nie przypadł do smaku, my jednak i dalej w tym kierunku sprawę wysświetlać będziemy, radząc z dobrze myślącymi czytelnikami o środkach i możliwości wpłynięcia na obniżenie ceny mieszkań.

Aleksander Makowiecki.

Przegląd piśmienniczy.

Przeł^ę Krakowskich tradycy, legend, nabożeństw, zwyczajów, przysłów i właściwości, podał Józef Łepkowski. Kraków 1866. — O zabytkach Kruszwicy, Gniezna i Krakowa, oraz Trzemesznej, Rogoźnej, Keyni, Dobieszewki, Gołańczy, Żnina, Gąsawy, Pakości, Kościelca, Inowrocławia, Strzelna i Mogilna. Sprawozdania i studia Józefa Łepkowskiego. Kraków 1866.

Mamy przed sobą dwa dziełka znanego archeologa, dziś zajmującego już katedrę w wszechniczy Jagiellońskiej, który z przykładowym zamiłowaniem swego przedmiotu, sporą już liczbą prac wzbogacił nasze piśmiennictwo, o tyle jeszcze będąc wpływowym i ważniejszym od innych, że obcy uczeni i archeologowie jego badania i prace za poważne i niemal źródłowe poczytują, powołując się na nie w kwestyach spornych, dotyczących starożytności polskich lub słowiańskich. I zaiste, słusnie się p. Łepkowskiemu należy ta powaga i uznanie, bo sumienna jego praca, troskliwość, a nadewszystko gruntowne dociekanie prawdy, wyniosły go na stanowisko zaszczytne dla niego.

Pierwsze z przytoczonych powyżej dziełek jego, o których zamierzamy parę słów pomówić tutaj, dotyczy wyłącznie Krakowa i drogocennych jego tradycy. Przedmiot w dziełku t^ęm przez Łepkowskiego poruszony i, jak sam powiada, pobieżnie tylko dotknięty, był już wielokrotnie, aczkolwiek częściowo tylko, rozbi^ę i krytycznie opracowywany przez wielu piszących. Tygodnik Ilustrowany, do którego się autor po kilka razy w ciągu sw^ęj rozprawki odwołuje, a dawniej jeszcze Gazeta Warszawska, zamieściły dość obszernie artykuły, dotyczące podań i legend krakowskich; po różnych opisach, powieściach, poezyach i rozprawach naukowych wiele pisano o Krakowie, strojąc w mniej więcej czarowne szaty fantazyi jego pomnikowe zabytki, czy w kamień, czy w drzewo, czy w słowo ludu zakł^ęte. Szczegółowe i dość wyczerpujące opisy Krakowa, między którymi ostatnie wydanie Ambrozego Grabowskiego niezaprzeczenie jest najlepszym, nie pomijały t^ęż obok geograficznego opisu, przytaczania szczegółów obyczajowych mieszkańców dawniej stolicy; pomimo to jednak zebranie w jedną całość, osobne stanowiąc^ę dziełko, wszystkich krakowskich podań, legend i osobliwości obyczajowych, było i jest bardzo pożądan^ę, a obecna praca Łepkowskiego wykazała dokładnie całe bogactwo przedmiotu, jakoby takie dzieło wypełnił i urozmaicił. Praca bowiem pana Łepkowskiego nie jest jeszcze t^ęm pożądan^ę dziełem, ale jest dobrym, że tak powiem, jego *indeksem* i programem. Sam autor na str. 35 powiada, iż nie zamierzył wyczerpywać przedmiotu, ale go raczej przesnuć tylko pragnął w napomknieniach, kr^ęśląc zarysy pierwszego szkicu, według którego możnaby dopiero całkowite ułożyć dzieło.

Najprzód tedy autor przebiega poczet świętych Pańskich, związanych z Krakowem żywotem przebytym wśród murów jego. Przebieg ten jest najprostszym rejestrem, okraszonym tylko pięknym i poetycznym ustępem z pism ks. Karola Antoniewicza. Tak samo przechodzi autor legendy o obrazach, kościołach i miejscach cudami słynących. Komu one nie są znane, ten się niewiele o nich z dziełka p. Łepkowskiego dowi^ę. Zdaje się t^ęż że autorowi wcale o to nie chodziło; pisał o Krakowie dla Krakowian, a Krakowianie jak pacierz umieją dzieje

swego miasta. W dziele jednak, o którego potrzebie wspomnieliśmy powyżej, dokładny opis wszystkich tych legend stanowiłby bardzo zajmującą część książki.

Nabożeństwa oraz procesye są następnie przedmiotem dalszego przeglądu p. Ł. Nad niektórymi z nich zatrzymuje się nieco dłużej. Rezurekcyi w kościele N. Maryi Panny poświęca nawet parę wierszy poetycznego opisu. Co do przeglądu obrzędów religijnych, nad którymi najdłużej i najkrytyczniej się zabawia, pozwolę tu sobie zrobić autorowi uwagę. We wzmiance o *sadzie* dla dzieci w wigili^ę Bożego Narodzenia przyrządzanym, p. Ł. powiada, że „jestto wspólne wszystkim ludom przypomnienie tym zielonym krzakiem nadziei o wiośnie“ i powołuje się na zdanie K. Szulca, mieniającego nasz sad trako-illirski^ę historyi zabytkiem. Co do mnie s^ędzę iż sad nasz, a u Niemców uroczystość obchodzona choinka (Christbaum) nie ma związku wcale z mitologią, ale raczej łączenie z pamięcią o narodzeniu się Dzieciny Bożej, pamięci o dzieciach ludzkich i przysposobianie im radości i zabawki, tłumaczyłoby może prędzej myśl religijną o dziecinie betleemskiej, której dary znosili pastuszkowie i królowie.

W przytoczeniu historycznych nabożeństw odprawianych po kościołach krakowskich, gdzie znajdujemy kilka mniej znanych ogółowi wiadomości, przypomina autor (co my t^ęż z nim radzi czynimy i tutaj) o dawnych szesnastowiecznych mszach świętych, dotąd grywanych na Wawelu, a zarazem dodaje, że Wincenty Gorączkiewicz (nawiasem mówiąc zamożny poszanowany artysta) ogłosił dwa posyty (Kraków u Friedleina 1846 r.) publikacyi śpiewów chóralnych, używanych w katedrze krakowskiej.

Wzmianka o krakowskim ludzie, w której autor powołuje się na pisma K. Brodzińskiego, oraz zbiory J. Konopki, Oskara Kolberga, Gołębiowskiego i Wójcickiego, łączy się ściśle z obrazem obyczajów Krakowa i obejmuje w krótkich zarysach obrzędy religijne i domowe, zabobony i przesady, gry zabawy i tańce.

Nad życzeniem *Dosiego roku* zastanawia się autor nieco obszerniej. Odsyłamy w t^ęm mierze czytelników do artykułu jego, drukowanego w N. 340 Tygodnika Ilustrowanego.

Rozbi^ę krytycznie znaczenie *cabru* babskiego, w t^ęlusty czwartek obchodzonego na rynku krakowskim, podaje w wątpliwość istnienie burmistrza *Cabrem* zwanego, a natomiast tłumaczy ten obrządek wyrazem *comber*, jako najlepszej części wołu, o którego użycie głównie chodzi w t^ęlusty czwartek. *He-kawę* tłumaczy autor jako obrzęd słowiański, jako dziady, *tryzne*, *chauture*, stypę pogrzebową, obyczaj znany na Białej Rusi pod nazwą radawnicy, radownicy i t. d. Czeski obrzęd podobnego charakteru na *Morani*, objaśniony podobnie jak przez Łepkowskiego równocześnie i przez Grohmana, potwierdza niezaprzeczenie domysł p. Ł., nie przypisującego *rekwawce* pochodzenia od znoszonej na pomnik Krakusa ziemi w *rekwawach*, jak dotąd powszechnie sądzono. Wywód p. Łepkowskiego ma, zdaniem naszym, wiele za sobą słusności. Krytycznie i badawczo rozbi^ę także autor obrzęd krakowskiego *konika zwierzyńckiego*, tradycy objaśnionej dotąd powszechnie szczęśliwym odegnaniem Tatarów z pod Krakowa, przez włózcza nadwiślańskiego w r. 1287, za panowania Leszka Czarnego. Łepkowski, nie mogąc w dziejach wynaléć najmniejszej wzmianki o podobnym fakcie, odnosi obrzęd konika do radosnej wieści o obronie przed Tatarami Ołomuńca przez Zdzisława ze Sternberku, przypadającej właśnie w porę uroczystości Bożego Ciała w r. 1241. Mylność jednak tego domysłu, aczkolwiek pozornie wiele za nim przemawia, polega na t^ęj okoliczności, iż w r. 1241 nie mógł się jeszcze odbywać obrzęd procesyi Bożego Ciała w Krakowie, z którym jednak konik zwierzyńcki ściśle się łączy, gdyż, jak to szanowny autor sam powyżej przytacza, wiadom^ę jest że pierwszy raz odbył się taki obchód w Belgii w Liège w r. 1251. Przypuszczenie zaś autora, iż zwycięstwo Morawian napełniło taką radością Krakowian, że po ni^ęm w koniku pamiętka została, dopóty tylko za prawdopodobne uchodzi, dopóki go autor nie rozszerza aż do wniosku, że pamiętka ta później, z nastaniem procesyi, złączyła się z nią w terminie. Przecież sam autor z tego powodu nie dowierza dacie 1287, ponieważ w roku tym odpę-

dzenie Tatarów nie w czas Bożego Ciała, ale na Boże Narodzenie wypadło. Łatwiej zaś było w jednym roku wskrzesić pamiątkę o parę miesięcy później, aniżeli łączyć ją w lat kilkanaście potem z procesją, bez żadnej danej przyczyny. I przyznaje też poniżej pan Ł., że nie należy się dziwić temu, iż podaniowy konik w szczegółach ludowej tradycji z dziejami się różni, „gdyby bowiem zgodził się doskonale z historią (pisze autor), straciłby tym samym charakter podania, a więc wartość swoją, której zmniejszać nie mieliśmy zamiaru, nie chcąc przyćmiwać blasku tradycji.“

W końcu swój rozprawki przechodzi pan Ł. *wyrażeń i przysłówia*, właściwe krakowskiemu ludowi, a tłumaczące się dziejami lub zwyczajami Krakowa.

Z przebiegu treści tej pracy, oraz z kilku nasyzkich uwag, poznać każdy może, iż jest ona tylko wskazówką i programem obszerniejszego dzieła, o jakie sam autor upomina się na str. 23, mówiąc: „Wszystkie te wzmianki tutaj przez nas zbierane, nierzają się niby paciorki na różaniec, budząc zazdrość, że nie mamy takiego kapłana, coby je zebrał we wspaniałym obraz.“ Niezaprzeczona jednak zasługa należy się już i temu, kto te paciorki *uniżał na różaniec*, mogący służyć za modłę owego pożądanego obrazu i dodać mu barw i ciepła.

Kończymy na tém nasz przegląd pierwszej z powyższej wymienionych prac p. Łepkowskiego, nie mogąc pominąć nadto wymienienia źródłowych pisarzy, do których się w ciągu swój pracy odwoływał, a którymi byli z naszych: Lelewel, Grabowski Ambroży, Konopka, Kolberg, Gołębiowski, Grajner, Wójcicki, Marcinkowski (Antoni Nowosielski) i Kaźmirz Szulc; a z obcych: Grohman, Hanusz, Nork, Friedrich, Bachofen, Manhardt, Snięgirow i Nilsson uczony szwedzki. Nie przepomniał też autor wymienić kilku poetów i pisarzy, którzy do swych pieśni lub obrazów czerpali kolorytu z pod krakowskich uroczysk.

Drugie dzieło p. Łepkowskiego ma zakrój obszerniejszy. Składa się ono z 11 rozpraw, w różnych czasach zamieszczanych w felietonach pism galicyjskich, a zebranych w roku zeszłym w jedną całość, ważną i pożyteczną z wielu względów. Jest tam bardzo dokładny artystyczno-archeologiczny opis kaplicy Zygmuntońskiej na Wawelu, zakończony smutną nad rzeczywistym jej stanem uwagą „iż fundusze stanowiące bogate uposażenie tego oratorium, (tak się zowie ta kaplica), zostają bądź w procesie, bądź ze szczętem przepadły. Wiązanie dachowe spruchniało; a gdy puściły śrubki, któremi złożone miedziane łuski były doń przytwierdzone, więc dziś woda zacieka na kopułę, sprowadzając wilgoć do sklepu, w którym królewskie spoczywają prochy. Ornamenta opadają, krusząc się z zawilgnienia, a ściana wschodnia najwięcej pod tym względem ucierpiała.“ Nie umiemy powiedzieć, czy do dziś dnia zaradzono już temu złemu, o którym p. Ł. przestrzega; w każdym razie szanujemy jego zacne uwagi. Projekt podany na str. 67, a zamieszczony w rozprawce o Gnieźnie i Trzemesznie, napisanej z wielkim wdziękiem i prostotą natchnionego opowiadacza, projekt dotyczący się wydania nut do pieśni *Bogarodzica*, przyszedł już do skutku; Aleksander hr. Przeździecki wydał bowiem w r. z. wszystkie warianty tej pieśni, którą po dziś dzień śpiewają w każde święto i niedzielę w katedrze u grobu jej twórcy w Gnieźnie. W opisie dawnych warowni Krakowa, pełnych ciekawych szczegółów, prostuje autor mylny sąd o stylu ich budowy dotąd wydawany, mieniąc styl ten *renesansem* nie zaś *gotykiem*. W przeglądzie zabytków archeologicznych w Poznańskim, mówi autor o Piotrze Duninie, owym fundatorze 77 kościołów, utrzymując iż Dunin wprowadził do Polski i upowszechnił na początku XII stulecia ów odcień romańskiego stylu, w jakim wzniesione kościoły zwykle fundacji jego przypisują. „Mógł wiele z nich (pisze Ł.) i sam własnym kosztem wznosić i uposażać; to przecież nie przeszkadza sądzić że upowszechnił ową formę architektoniczną, później naśladowaną, a od imienia jego nazwaną.“

Wykłady podań o Popielu i Piaście, zestawione z różnych pisarzy naszych, jako to: Lelewela, Bielowskiego i Szajnochy, objaśnia autor własnymi uwagami, którym trafności i głębszego wejrzenia w prze-

szłość odmówić nie można. Stanowisko z którego się Łepkowski na podania te zapatruje, najlepiej określają jego własne słowa na str. 166 umieszczone: „Myty w narodzie z pokoleń przez wieki przechodzą, a zaprzeczenia podobno najdalej idą wtedy, jeśli się rozprawa o nich z księgarni do biblioteki dostać podoba. Inna rzecz (co się metody tyczy) tłumaczyć tradycje, podobnie jak to Bielowski i Szajnocha czynią, a inna odrzucać je ze wzdargą, poprostu baśniami nazwawszy (Lelewel, Muczkowski). Więc walcząc przeciw tym ostatnim, za pierwszymi idziemy ponieważ, skoro obok ich tłumaczeń i nasze stawiamy.“

„Odgadywać je (podania) nieinaczej można, (pisze Ł. niżej) jak tylko takim sposobem, jakim się zwykle mitologiczne greckie i rzymskie tłumaczy powieści.“ Więc tłumaczy autor symboliczne podań obrazy, według ich mitycznego języka, który zbadać i zrozumieć znaczy tyle, co rozwiązać podanie. Są to myśli i uwagi zasługujące ze wszech miar na uznanie; nadewszystko zaś z tego względu, iż za pomocą ich autor bardzo trafnie podanie o Popielu i Piaście wytłumaczył. Treść objaśnień Ł., a raczej ich konkluzja, jest taka: „Wszystko to, co symbolizuje zniszczenie, zatracenie i przewrót społeczny, znalazło się w mycie o Popielu; to zaś, co odradzanie znaczy, w Piaście się skrześliło.“

W opisie kościołów strzelnieńskich napotykamy ważny szczegół archeologiczny, to jest tablice erekcyjnej, będące najdawniejszym u nas zabytkiem rzeźby chrześcijańskiej średniowiecznej. Pochodzą one z początku VII wieku, i wcześniejsze są o 25 lat od świeżo odkrytej rzeźby w pragskim kościele św. Jerzego, pochodzącej z r. 1150. Troskliwie zebrał p. Ł. wszystkie szczegóły i podania dotyczące się pięknego i starożytnego kościołka św. Wojciecha w Krakowie, a opis jego jest niezawodnie najlepszym ze wszystkich dotychczasowych artykułów o tym przedmiocie napisanych. Do opisu dołącza też p. Ł. i projekt, który zasługuje na poparcie. Jest przy kościołku św. Wojciecha pusta kaplica św. Jana Nepomucena, dostawiana tylko do kościołka, a nie tworząca z nim całości; ma ona wrota drugie wychodzące wprost na rynek, a jest dziś bezużyteczną i zamkniętą. Otóż tedy, w tej kaplicy proponuje p. Łepkowski utworzenie kaplicy pogrzebowej, właściwej obyczajom katolickim.

Projekt ten, który do dziś dnia nie został jeszcze przyjętym, popiera p. Ł. i tą nader praktyczną uwagą, że dochody z tej pogrzebowej kaplicy płynące mogące, stanowiłyby stały i dość znaczny fundusz dla kościołka św. Wojciecha, jakiego ta uboga świątynia dotąd nie ma, będąc odnawianą teraz li tylko ze składek pobożnych Krakowian. Pięknym jest także drugi projekt p. Ł. co do wprowadzenia śpiewu pieśni *Bogarodzicy* do kościołka pod nazwą jej autora, czego dokazać można wysłaniem na naukę do Gniezna zdolnego organisty, któryby przeschępił tradycyjną nutę do miejsca, z jakiego niegdyś święty patron czeski kazał do zgromadzonego ludu na rynku. Piękny obraz melodyi tej pieśni, którą autor słyszał śpiewaną u grobu św. Wojciecha, zamyka ten zajmujący opis prawdziwie poetycznym ustępem. (str. 249).

Książkę o której tu mówimy zakończają obszernie studia archeologiczno-historyczne o starożytnych budowlach i zakładach naukowych uniwersytetu Jagiellońskiego, dokonane z powodu pamiątki pięćsetletniego jubileuszu akademii krakowskiej w r. 1864; rozprawka o wydawnictwach zabytków architektonicznych i rzecz o kościele akademickim św. Anny, w Krakowie. Rozdział o budowlach i zakładach uniwersyteckich zawiera w sobie najszczegółowszy opis wszystkiego, co tylko z uniwersytem Jagiellońskim ma związek, nadewszystko zaś bada krytycznie i odszukuje śladów owych budowli, które były pierwszym przybytkiem nauk za czasów fundacji Kaźmirza W. w r. 1364. Badania te, oraz robione z nich wnioski, opierają się głównie na Długoszu i aktach mającej się wzniesić fundacji kartuzów, na rzecz których szczątki domów naukowych na Bawole darowane były jeszcze Długoszowi. Określa je bliżej co do miejscowości akt sprzedaży czterech wsi temuż klasztorowi kartuzów, mającemu się wzniesić w miejscu gdzie była szkoła główna na Bawole: *Juxta Istulam in collibus S. Stanisłai*, nad Wisłą na wzgórzach św. Stanisława, a jak Długosz określa,

przy murze, na przestrzeni z górą 1000 kroków wszęsz i wzdłuż. Miechowita, powtarzając słowa Długosza w kronice swojej, a świadom rzeczy dokładnie, dopełnia wyrażenie: *przy murze*, wyjaśnieniem: *obok kościoła św. Wawrzyńca*. Tak więc prawie dokładnie wiadomym już jest to miejsce, na którym wznosiła się pierwsza akademii krakowska na Bawole, składająca się z ozdobnych budowli, obszernych izb na wykłady, oraz mieszkań dla doktorów i mistrzów. Następnie opisuje p. Łepkowski losy Kaźmirzowskiej akademii, przeniesienie jej do Krakowa i będąca na ukończeniu jej restauracja.

Dodać tu winniem że książka ta dla każdego archeologa, artysty, rzeźbiarza czy malarza, poety i powieściopisarza jest pożyteczną, a nawet potrzebną. Wszystko co tylko ma związek z przeszłością naszą naukową lub artystyczną, co już pomnikiem dawnych czasów się stało, znalazło pomieszczenie w książce pana Ł., pełnej trafnych uwag i świeżych na rzeczy poglądów. Autor gorliwie w swoim zawodzie pracuje, a owoce pracy jego przynoszą ogółowi pożytek. Badania jego i poglądy, dodane do tych archeologicznych zdobyczy, jakie poczynili przed nim A. Grabowski, Lelewel, Bielowski, Przeździecki, Rogawski, Sobieszkański i kilku innych jeszcze, podniosły niezaprzeczenie umiejętność archeologii do tego stopnia u nas, na jakim już dawniej postavili ją Niemcy u siebie, licząc od Winkelmana spory poczet głośnych na tém polu autorów. Samo zbogacenie uniwersytetu Jagiellońskiego katedrą archeologii, usiłowanie p. Łepkowskiego dokonane, niemały też jest zasługą tego, który z niej po raz pierwszy w tym roku uczniów filozoficznego wydziału nowego naucza przedmiotu. J. K. T.

ROZMAITOŚCI.

Odnowienie zabytków malarzkich i rzeźbiarskich w Żółkwi.

Donosiliśmy już w Tygodniku Ilustrowanym o zamiarze odrestaurowania w ruinie i zaniedbanu będących, znanych w historii sztuki olbrzymich a znakomych obrazów pędzla Marcina Altamonti, oraz pomników rzeźby, znajdujących się w kościele farnym w mieście Żółkwi w Galicyi. Teraz wyczytujemy w sprawozdaniu z roku 1866 p. Mieczysława Potockiego, konserwatora budowli i pomników wschodniej Galicyi, że wspomniane zabytki niebawem oczyszczone i odrestaurowane zostaną, a to kosztem składek wynoszących 15000 zł. reńskich. W tym albowiem celu za zezwoleniem rządu zawiązał się właśnie komitet, który zajmuje się najtroskliwiej i najdokładniejszym ich odnowieniem. Ze takowe zupełnie odpowiednio, z pilnym zachowaniem starożytnych cech, przeprowadzonym zostanie, za to ręczy dobór osób składających komitet, na którego czele stoi Włodzimierz hr. Dzieduszycki. Drugim również gorliwym w tej sprawie członkiem jest terazniejszy proboszcz żółkiewski, ks. Jan Nowakowski, który z wytrwałością i znajomością rzeczy sam kieruje odnowieniem tych pomników.

Ze wspomnionego sprawozdania dowiadujemy się że miasto Żółkiew ma nadto kilka innych pięknych kościołów, mianowicie zaś dominikanów, który ozdobiony jest nagrobkiem i portretem Marka Sobieskiego, starszego brata króla Jana III, poległego w bitwie pod Batowem.

Cale miasto było niegdyś mocno obwarowane i wysokim obwiedzione murem, który po części dotąd się utrzymał, wraz z dwiema warownymi bramami.

W środku miasta wznosił się zamek zamieszkały przez króla Jana. Przed samem wejściem do zamku stały posągi króla Jana III, jego ojca, hetmana Radziwiłła i kilka innych. Gdy zamek został opuszczony, posągi owe coraz więcej niszczały, aż nakoniec nabył je właściciel Magierowa i z Żółkwi wywoził. Część zamku będąca własnością eraryalną, dobrze jest zachowana i utrzymywana; napis nauczający kiedy i przez kogo zamek był założony, oraz marmurowe herby Żółkiewskich, starannie są oczyszczone. Przeciwnie część główna zamku, stanowiąca niegdyś właściwe pomieszkanie króla, a będąca teraz własnością prywatnego obywatela, niezadługo zniknie może zupełnie, bo właściciel rozbięra mury i materiały tutejszym mieszkańcom sprzedaje.